



K. LASKOWSKI (ED)

Ekonom - Tragik



Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:

Rocznie (52 tomy) rb. 10
Półrocz. (26 tom.) „ 5
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50
Za odneszenie do domu 15 kop. kwart.

Z PRZES. POCZT.:

Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 3

Cena każdego tomu 40 kop., w oprawie 55 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . rb. 1 kop. 50
Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI.

WYDAWCA: KAZIMIERA GADOMSKA.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Sienna 2,
we Lwowie, Plac Maryacki I. 4.

FILIA W ŁODZI:

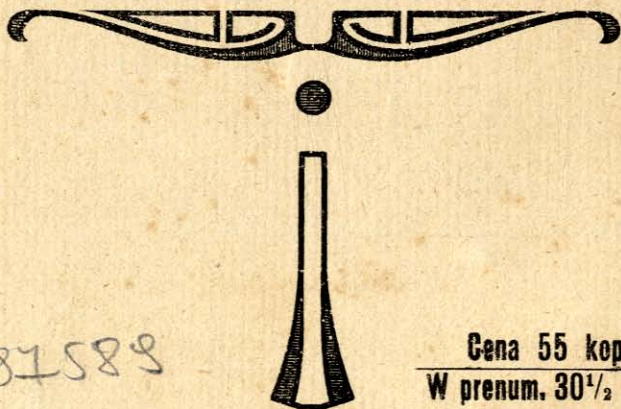
Księgarnia Stanisława Olczaka, Mikołajewska 20.

DREK. EDWARD NICZ i S-ka, NOWY-SWIAT 70. Tel. 27-73.

KAZIMIERZ LASKOWSKI (El).

EKONOM-TRAGIK

Obrazek z życia wiejskiego.



87588

Cena 55 kop.
W prenum. 30¹/₂ kop.

WARSZAWA

Redakcja i Administracja Sienna № 2, (Dom Towarzystwa Rosya). Telefon 114.30.

KATALOG „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”

z lat 1906, 1907 i 1908

Cena pojedynczego tomu 25 kcp. brosz. i 40 kcp. oprawa.

POWIEŚCI.

- Berta bar. Suttner. DZIECI MARTY, 2 t.
Z. Morawska. ZMIERZCH I SWIT, 3 t.
Antoni Gawiński. SEN ZYCIA, 1 t.
T. Jeske-Choiński. MAŁŻENSTWO JAKICH WIELE, 1 t.
Faustyna Morzycka. Z DNIA WCZORAJSZEGO, 2 t.
Marion. PAMIĘTNIK, 1 t.
Zofia Casanova (Lutosławska). DOKTÓR WOLSKI, 2 t.
E. L. Voynich. OLIVIA LATHAM, 2 t.
Wiktor Gomulicki. CIURY, 3 t.
Kazimierz Gliński. CO MÓWIĄ LASY LITEWSKIE, 1 t.
Eliza Orzeszkowa. ISKRY, 2 t.
Marya Rodziewiczówna. ANIMA VILIS, 2 t.
Wincenty Kosiakiewicz. ŻYWE OBRAZKI, 1 t.
Stan. Ostrowski. A GDY SIĘ LAŁA KREW OFIARNA, 1 t.
Artur Schnitzler. ŚMIERC, 1 t.
Tadeusz Rittner. NOWELE, 1 t.
Alexandra Suszczyńska. INACZEJ, nowele, 1 t.
Teodor Dostojewski. BIESY, 8 t.
Maurice Leblanc. WYTWORNY WŁAMYWACZ, 2 t.
Eliza Orzeszkowa. WIDMA, 1 t.
Teod. Tom. Jeż. ZARNICA, powieść bułgarska, 3 t.
Józef Conrad (Korzeniowski). TAJNY AGENT, 2 t.
Marceli Prévost. LISTY DO FRANCISZKI ZAMĘZNEJ, 2 t.
Jarosław Mikulicz. KROLEWIENKA, 1 t.
Sir Edward Bulwer Lytton. ZANONI, 3 t.
OPOWIADANIA CZECHOWA, 2 t.
Jerome Jerome. WŁOCZĘGA W TRÓJKE, 1 t.
Maurycy Barrès. POD PIKIELHAUBĄ, 1 t.
Ryszard Voss. WILLA FALCONIERI, 2 t.
A. Kuprin. POJEDYNEK, 2 t.
Conan Doyle. CZERWONYM SZLAKIEM, 1 t.
Jerzy Rodenbach. DZWONNIK, 2 t.
Grazia Deledda. POPIOŁ, 2 t.
Mark Twain. SZKICE I HUMORESKI, 1 t.
Henry Murger. SCENY Z ZYCIA CYGANERY, 3 t.
E. Czirikow. NOWELE, 1 t.
Juliusz Zeyer. WIECZÓR U IDALII, 1 t.
Johan Bojer. MOC OPINII, powieść, 2 t.
Marlon. MIRAZE, 3 t.
Conan Doyle. CZTEREJ, 1.
Tadeusz Jaroszyński. DWIE NOWELE, 1 t.
Conan Doyle. Z PRZYGOD SHERLOCKA HOLMESA, 1 t.
Hermann Heijermans. W PRZESTRZENI, humoreska, 1 t.
Upton Sinclair. TRZĘSAWIŚKO, 4 t.
W. Doroszewicz. RODZINA I SZKOŁA, 1 t.
Herman Heijermans. MIASTO DYAMENTOW, 2 t.



258408

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0125018

W-239/01

ASr

Historya, Pamiętniki, Opowiadania historyczne i Podania ludowe.

- Juliusz Falkowski. KSIĘSTWO WARSZAWSKIE, 2 t.
DRUGI ROZBIOR POLSKI. Z pamiętników Sieversa, 3 t.
NEWROZA REWOLUCYJNA, w. D-rów Cabanès i L.Nassa, 1t.
Kazimierz Bartoszewicz. KONSTYTUCYA 3 MAJA, 1 t.
Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH
I POWSTANIACH, 10 tomów.
J. Scherr. Z KRWAWYCH DNI (komuna paryzka), 1 t.
PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZNY z czasów Stanisł. Augusta, 3 t.
Kazimierz Rakowski. DWA PAMIĘTNIKI z 1848 r., 1 t.
Jerzy Kennan. SYBERYA, 4 t.
Pamiętniki Kasztelana Narcyza Olizara. Rok 1831. 2 t.
Paulina Wilkońska. MOJE WSPOMNIENIA, 3 t.
Bonawentura z Kochanowa. WINCENTY WILCZEK I PIĘ-
CIU JEGO SYNOW, 3 t.
Kajetan Koźmian. PAMIĘTNIKI, 6 t.
Juliusz Falkowski. WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 i 1849, 3 t.
Aleksander L. Kielland. NAPOLEON I JEGO LUDZIE, 2 t.
Eugeniusz Checchi. GARIBALDI, 2 t.
Jędrzej Śniadecki. PISMA SATYRYCZNE, 3 t.
Louis E. Van Norman. POLSKA JAKO RYCERZ WŚRÓD
NARODÓW, 1 t.

Opisy, Podróże i Studya popularno-naukowe.

- Paweł Doumer. KSIĄŻKA MOICH SYNOW, 1 t.
Jerzy Grosjean. SZKOŁA i OJCZYŻNA, 1 t.
Ludwik Włodek. NA POŁNOCY I NA POŁUDNIU, 1 t.
T. Grużewski (S. Topór). PANSTWOWOŚĆ ROSYJSKA, 1 t.
A. Kolb JAKO ROBOTNIK W AMERYCE, 1 t.
Jan Bleszyński. MAROKKO, 1 t.
W. Gomulicki. OPOWIADANIA O STAREJ WARSZAWIE, 1 t.
Ludwik Proal. ZBRODNIE POLITYCZNE, 1 t.
Willa Zyndram-Kościalkowska. SZKICE LITERACKIE, 2 t.
G. Sarrazin. WIELCY POECI ROMANTYCZNI POLSKI, 2 t.
Ryszard Jefferies. HISTORIA MOJEGO SERCA, 1 t.

EKONOM-TRAGIK.

Z roku na rok zrywał Mordka Maliner z tra-
dycjami placu Bankowego, ulegając wpływom asy-
milacyi.

Nabywszy pierwszą kamienicę na Lesznie, prze-
dewszystkiem zmienił krawca; w lat parę po zwy-
cięskiej walce licytacyjnej o trzechpiętrową posesyę
w „Alejach”, na protokule Towarzystwa kredytowego
miejskiego podpisał się już Maurycy Maliner, a w chwili,
gdy ukończył przybudowę trzeciego domu na „Kra-
kowskiem”, gdzie w lokalu, oświetlonym elektrycz-
nością otworzył „biuro handlowe”, z dawnego Mord-
ki, późniejszego Maurycego Malinera, pozostał zale-
dwie ślad nieczytelny na szyldzie, mającym w zmniej-
szeniu wygląd następujący:

Mordka Maliner
BIURO HANDLOWE
pod firmą
MAURYCY MALINOWSKI.

Dodać jeszcze dla ścisłości wypada, że górną
część szyldu zasłaniał letnią porą rąbek markizy; że
zaś zimą, na mrozie, czytelność uliczne nie kwi-
tnie, przeto drobne wspomnienie przeszłości na zna-
ku firmowym było przez rok okrągły dla szerszego
ogółu niedostrzegalnem.

Na takim powierzchownym oznaczeniu zmiany przekonań nie poprzestawał jednak pan Maurycy Malinowski.

Noblesse oblige! nazwisko obowiązuje.

Wpadał więc do Wróbla na „parówki”, do Brajbisza na „wołową z różną” lub flaki, bywał stale na premierach w „Rozmaitościach”, popierał pana Ludwika w „Małym”, śpiewaczkom włoskim posyłał kosze kwiatów, ale w sekrecie przed żoną, Amelią z Taubenfussów, osobą wielce zazdrośną, zdenerwowaną, którą rok rocznie wraz z dziećmi wysyłał na letnie mieszkanie do Mrozów.

Jako dobry mąż, a ojciec czuły, robił czasem rodzinie niespodziankę, biorąc dla całego domu łożę. Bywał także u Krywulta i w „Zachęcie”, jako człowiek zwyczajny, posiadający akcyę pięciorublową, dającą prawo bezpłatnego wejścia z rodziną.

Można powiedzieć, że kochał się w sztukach pięknych, bo latem uczęszczał stale do „ogródków”, gdzie zawiązał liczne znajomości, rozumie się, że w charakterze słomianego wdowca.

Po za tem, wzięwszy kilkanaście lekcji konnej jazdy, wynajmował czasami pan Maurycy rumaka z tatarsalu i wyjeżdżał na spacer w aleje, raz nawet dotarł do Otwocka, gdyż pani Amelia, sprzykrzywszy Mrozy, tutaj willę na lato wynajęła.

O pokarm umysłowy dbał również. Trzymał wprawdzie, jak za *malirenowskich* czasów, *Gazete Handlową*, ale wyłącznie dla biurowego użytku; dla żony i dla siebie oprócz pism ilustrowanych zaprenumerował obydwa Kuryerki, wczytując się pilnie

w rubrykę „licytacye”, jako łączącą w sobie *utile z dulci*.

Było to na wiosnę. Pan Maurycy, wyszedłszy z giełdy, wstąpił na „czarną” do Loursa w Saskim ogrodzie, gdzie miał go oczekiwać dawny znajomy, faktor, stręczący mu kupno willi w Otwocku. Interesy szły dobrze, zarobił na „lilpopach” kilka tysięcy rubli, chciał Amelii zrobić niespodziankę. Stać go na to! może sobie pozwolić! Zresztą i willa nie jest tak złym interesem, zwłaszcza, gdy kto potrzebuje żonę z dziećmi wysyłać na letnie mieszkanie.

Zaczął obliczać.

Da ile? Pięć... sześć tysięcy rubli, to prawda, ale nie będzie płacił komornego, odnajmie parę pokojów, zawsze będzie jakie pięć procent od kapitału... a co wygodą—to wygodą. Przytem nie wypada, żeby pani Maurycowa Malinowska wynajmowała mieszkanie. Co innego dawniej... ale teraz... może mieć nie jedną... ale dwie... trzy wille...

Zdecydował się kupić.

Ale faktor, jak na złość, nie przybywał. Pan Maurycy czekał, niecierpliwiał się, wypił już dwie filiżanki kawy, w końcu z nudów wziął „Porannego” do ręki i zaczął czytać.

Jak zwykle, rozpoczął od... „licytacyi”, lecz zaledwie rzucił okiem, drgnął cały, prawie że skończył z radości.

— To jak raz dla mnie! Może sobie teraz ten galgan nie przychodzić! — mruknął, odczytując ulubioną rubrykę po raz wtóry.

Nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelnika, objaśnię odrazu, że nie jakaś sensacyjna wiadomość

polityczna, lecz najzwyczajniejszy anons tak zelektryzował pana Maurycego.

Anons opiewał: Folwark Malinówka, w powiecie radomskim, guberni radomskiej położony, od stacyi kolejowej wiorst pięć, ogólnej przestrzeni włók piętnaście, sprzedany będzie w drodze licytacji publicznej. Szacunek licytacyjny 10,000 rb!

— Niech dyabli wezmą willę — mówił do siebie, czytając ogłoszenie po raz trzeci.—Malinowski... z Malinówki... Jak to ślicznie brzmi! Kupię dobra... kilka tysięcy rubli więcej, co to dla mnie znaczy! Dopiero się Amelka ucieszy... Malinowski z Malinówki... kupię... będzie letnie mieszkanie przez cały rok. Jak ma być szyk, niech będzie szyk. Ja tak lubię... Cała giełda będzie wiedziała! Malinowski z Malinówki... Aj! waj!

Końcowy wykrzyknik, wypowiedziany już na cały głos, wyrwał się z piersi przyszłego dziedzica Malinówki z wielkiej radości. Zawstydzil się pan Maurycy zbytniego ferworu i obejrzał się w około, czy kto nie posłyszał. Szczerściem, prócz chłopea, nikogo na sali nie było.

Uspokojony zapłacił za kawę i, nie czekając już na faktora, z gotowym projektem w głowie, pośpiesznie podążył ku domowi, powtarzając:

— Malinowski z Malinówki... Malinowski z Malinówki...

W drodze ułożył sobie, że żonę nie nie powie, aż po kupnie, a nawet jeszcze później, jak się w nowym domu urządzi. Zamiast na letnie mieszkanie zawiezie ją wtedy wprost do Malinówki. Wyo-

brazął sobie radość i zdziwienie małżonki, gdy ta usłyszy od niego:

— Amelciu, to jest twoje letnie mieszkanie... To trochę lepsze, niż Mrozy, Otwock, niż własna willa nawet...

Mlaskał z zadowolenia na samą myśl takiej niespodzianki.

Wieczorem tegoż dnia, pod pretekstem ważnego interesu handlowego w Łodzi, pędził pan Maurycy pociągiem kolei Nadwiślańskiej w stronę Radomia. W parę dni wrócił rozpromieniony. Był dziedziecem, prawowitym dziedziecem Malinówki, utrzymawszy się na licytacji za sumę trzynaście tysięcy rubli. Według pierwotnego planu, starał się przed żoną zachować tajemnicę aż do lata. W biurze nakazał sekret, a Kuryerki, w których wydrukowano, że pan Maurycy Malinowski z Warszawy nabył w gub. radomskiej dobra ziemskie Malinówka, zniszczył, aby przypadkiem tą drogą wiadomość do pani Amelii nie doszła.

Na giełdzie wieść o kupnie dóbr rozeszła się szybko. Zaczęto się dopytywać pana Maurycego o obszar, o las, o propinację... Nowy nabywca chętnie udzielał pytającym objaśnień, prosząc jednakże o sekret.

Zabezpieczywszy się w ten sposób, był pewien, że żonę on pierwszy w stosownej chwili nazwie dziedziecką... Po głębszem jednak rozmyśle przyszedł do przekonania, że częste wyjazdy mogłyby obudzić w umyśle zazdrosnej połowicy podejrzenie, w następstwie nieprzyjemność domową; postanowił przeto wyjaśnić prawdę przed czasem, ale w sposób deli-

katny, aby zbytńia radość nie oddziała na zdrowie pani Amelii.

Zamówiwszy setkę biletów wizytowym z drukiem gotyckim, skoro mu z drukarni obstalunek odesłano, udał się natychmiast z paczką w rękę do pokojów żony.

Pani Amelja siedziała właśnie na kozetce, zajęta czesaniem siedmioletniej Rózi.

— Jak to dobrze, Moryc, żeś przyszedł— rozpoczęła, ujrawszy wehodzącego męża — chciałem właśnie wyjść z Rózią na spacer do Saskiego, potrzebuję pieniędzy.

— Ty potrzebujesz cicho siedzieć, Amelciu — przerwał pan Maurycy.—Jak ja tobie coś powiem to się z miejsca nie ruszysz... Coś bardzo ładnego...

— Ciekawam, co ty mi powiesz, Moryc! Może „wagony” poszły w górę?

— Nie zgadłaś, aniolku!... Jeszcze coś lepszego...

— Wzięłaś dobrą dostawę?

— Nie, nie! To jest cała niespodzianka; niespodzianka dla ciebie...

— Kupiłeś na licytacyi w lombardzie precyozę? No, powiedz, Moryc — spytała z przymileniem pani Amelia.

— I to nie. Jeszcze lepszę...

— Już wiem! Willę w Otwocku?

— Nie willę... Kupiłem... ale co? no, powiem, jak Amelcia da słowo, uczeiwe słowo, że nie będzie chciała tego widzieć póki ja jej sam nie pozwolę...

— Dam słowo. Dam dwa słowa...

— Jak Rózię kochasz?

— Jak Rózię kocham!

— Jak Leosza kochasz?

— Jak Leosza kocham!

— No, to słuchaj... kupiłem dla ciebie to...

Przy tych słowach podał żonie pan Maurycy paczkę biletów.

Otworzyła pudełko, zajrzała do wnętrza i... o mało nie rzuciła podarkiem w twarz męża...

Szczęściem małżonek w porę dopowiedział:

-- Czytaj, Amelciu! proszę cię, czytaj!

Ciekawość przemogła pierwszy popęd gniewu.

Pani Amelia skierowała piwne oczy na karty wizytowe. Czytała... Nagle twarz jej się rozjaśniła.

— Moryc! co to jest? czy ja dobrze widzę?

— Ty dobrze widzisz, Amelcia.

— *Obywatele ziemscy?*...

— Tak jest... czytaj! Amelciu, czytaj!

— Malinów... ka...

— Malinowscy z Malinówki!...

— Kupiłeś wieś! ja zawsze mówiłam, żeś ty jest poczciwy człowiek, Moryc!

Przy tych słowach pani Amelia rzuciła się mężowi na szyję.

-- Kupiłeś wieś? — pytała z zawieszonymi na szyi męża rękoma.

— Dobra...

— Na licytacyi?

— Na licytacyi, Amelcia.

— Dużo dałeś?

Pan Maurycy wymienił cyfrę.

— Czy to dobry interes?

— Twój Moryc złych interesów nie robi—odparł z dumą małżonek.

— Słuchaj, Moryc! my pojedziemy zaraz!

— Amelcia! a gdzie słowo? gdzie dwa słowa? Leon i Różia!

— Ja nie wytrzymam.

— Ty wytrzymasz. Ty potrzebujesz zostać w Warszawie do czasu, jak ja w Malinówce wszystko urządzę.

— Dlaczego nie mam jechać?

— Amelcia! nie bądź sprzeczną! Po pierwsze, w Malinówce jest jeszcze kawałek roboty ze dworem, z tapetami, z ogrodem. Ja chcę tobie zrobić cacko! Po drugie, jak ja będę siedział na wsi, ty potrzebujesz pilnować tutaj interesu.

Małżonka zgodziła się wreszcie dotrzymać słowa, zastrzegłszy sobie jednak, aby wyjazd do dóbr miał miejsce nie później, jak za dwa miesiące, co pan Maurycy najsolelniej przyrzekł. Nastąpił tedy podział pracy. Pani Amelia pozostała w Warszawie na straży biurowych interesów, a pan Maurycy wyruszył do Malinówki, zaopatrzwszy się w niezbędne dla obywatela ziemskiego przedmioty. Kupił sobie przede wszystkim długie buty, ostrogi, czapkę z daszkiem, „maciejówkę”, rejestra gospodarskie od Szustra i kilka podręczników gospodarskich. Tapety, meble zamierzał sprowadzić później, po zbadaniu gruntu na miejscu.

Siedział już nowy dziedzic w Malinówce od tygodnia, z każdym dniem w coraz gorszy wpadając humor. Malinówka, choć kupiona na licytacji, nie była wprawdzie majątkiem zniszczonym, wyma-

gała jednak dość znacznych wkładów. Potrzeba było niektóre budynki poprawić, inwentarza dokupić, grodzić płoty, a i dwór, choć względnie bardzo dobry, gruntownie odrestaurować. Zabrał się do tego ohocho pan Maurycy, nie szczędząc pieniędzy. Ale nie tyle pieniężny wydatek gryźł go i trapił, co służba, która dla nowego pana nie znalazła uszanowania. Czapkowano mu wprawdzie w oczy, ale z boku drwiono i szdyżono z każdej jego dyspozycyi.

Na własne uszy słyszał, jak fornale nazywali go... *przecherà! skórczarzem!*

Stary Pafnulski, ekonom, którego nowy dziedzic na miejscu zatrzymał, okazał się człowiekiem bez żadnej energii, nie umiał utrzymać służby w subordynacyi, sam nawet dawał zły przykład, rozpowiadając przeróżne historye o pochodzeniu pana Maurycego, kończące się zwykle pogróżką:

— Byle się tylko jakie takie miejsce trafiło, to ja tam u tego licytanta popasać nie będę.

Nie było prawie dnia, żeby pana Maurycego jakaś nieprzyjemność nie spotkała. Odprawił kilku zuchwalców... Maćka fornała, który się spytał: „czy teraz będzie wolno świnię chować?” nawet poturbował; stangretowi za wysmarowanie smalcem chomont, rubla z pensyi wytrącił, lecz to wszystko nie wiele pomagało.

Ponieważ w przekonaniu pana Maurycego wi-na niesubordynacyi służby ciążyła głównie na Pafnulskim, postanowił go przy pierwszej lepszej okazji oddalić, a postarać się o innego, więcej energicznego rządcę.

Traf, jak to zwykle bywa, przyspieszył, może nawet za szybko, wykonanie tego postanowienia.

Pafnułski, myśliwy zawołany, idąc w pole, brał zawsze z sobą od przypadku pojedynkę. Zdąrzyło się raz, że gdy pan Maurycy wyjechał konno do pługów, dozorujący Pafnułski strzelił do przelatującego jastrzębia.

Huk strzału spłoszył wierzchowca. Skoczył, dał kilka szczupaków po świeżo zoranej roli... Pan Maurycy puścił cugle, czapka „maciejówka“ spadła mu z głowy, chwycił się oburącz grzywy, lecz, mimo wysiłków, nie mogąc utrzymać równowagi, runął jak długi w bruzdę.

— Ha! ha! ha! — zaśmieli się oracze i kilku, rzuciwszy pługi, pobiegło za cwałującym bez jeźdźca wierzchowcem.

Pan Maurycy nie poniósł wprawdzie szwanku, ale taka kompromitacya doprowadziła go do ostatniej pasyi.

— Jak pan śmiesz — krzyknął do Pafnułskiego, podniósłszy się z upadku — polować w czasie zakazanym! Jak pan śmiesz strzelać, kiedy ja jadę!

Nieco przestraszony Pafnułski, chciał się tłumaczyć początkowo, ale, widząc, że zaperzony dziecko nie da mu przyjść do słowa, rozszrozył się również.

— To nie trzeba jeździć, jak kto nie umie — odrzekł podniesionym głosem.

— Co! pan będzie mi uwagi robił! Wynoś się! Niech cię moje oczy nie widzą! — krzyczał pan Maurycy.

— O, wielka rzecz! Proszę mi zapłacić do Świętego Jana, to pójdę, choćby zaraz... O taką służbę nie stoję...

— Bardzo dobrze! będziesz pan zapłacony i wyrzucony. Za pieniądze zawsze ludzi dostanie — pokrzykiwał dziedzic.

— Jeśli tak! to już idę... Jesteście świadkami, że mnie dziedzic sam odprawił — odparł ekonom, zwracając się do oraczy i, zarzuciwszy strzelbę na ramię, ruszył ku domowi.

Na drugi dzień Pafnułski wyprowadził się na „bruk“, do pobliskiego miasteczka, a pan Maurycy pozostał na gospodarce sam jeden, bez pomocnika.

Szczęściem była to pora, w której pilnych robót gospodarskich niema, więc, zleciwszy połowym dozorowanie orki ugorów, pan Maurycy postanowił obyć się bez ekonomy czas jakiś, póki mu się odpowiedni człowiek nie trafi. Swoją drogą faktorowi obiecał sute porękawiczne, byleby mu kogoś godnego następcę. Żonie o swych kłopotach nie donosił, licząc, że z czasem wszystkie trudności przełamie.

Już trzy tygodnie upłynęło od przyjazdu pana Maurycego, a dwa od wydalenia Pafnułskiego. Restauracya domu postępowała dość szybko, a i w gospodarstwie szło jakoś szczęśliwie.

Była godzina trzecia po południu. Pan Maurycy, wyprawiwszy osobiście fornałi w pole, siedział na murawie pod stodołami, aby choć zdaleka doglądać orki, bo „pańskie oko konia tuczy“, gdy na drodze, prowadzącej ku stodołom, ukazał się jakiś podróżny.

Szedł on prosto do dworu.

— To pewnie do mnie — pomyślał pan Maurycy.

— Hop! hop!—krzyknął.

Podróżny przystanął, obejrzał się i, spostrzegłszy pana Maurycego, pobiegł z niskim ukłonem.

— Powitać pana dziedzica dobrodzieja! Pan dziedzic mnie nie poznaje? Alfons Wyżerko...

— Wyżerko?—mruknął pan Maurycy. — Istotnie... coś mi się przypomina...

— Alfons Wyżerko — powtórzył przybyły — artysta dramatyczny, tragic. Nie przypomina sobie pan dziedzic? W Bellevue... Felka... ta blondynka...

— Aha! aha!—podechwycił Malinowski. — Masz pan rację! Teraz jestem w domu. Pan grał „w Gasparonie” *podestę*...

— Właśnie. Wtenczas to było powodzenie... Felka... Zuzia... Jadzka... ja, Pękosz, Barchański...

— Ale cóż pan tu robisz?

— To cała historia, panie dziedzicu! Przez tego łotra Czynickiego człowiek się znalazł nad przepaścią. Wywiózł towarzystwo na prowincję, urządził kłapę... Zrobiliśmy „działówkę”, — latało się jakoś jeszcze... ale nam prymadonna drapnęła do Pułtuska... Skandal, panie dziedzicu! skandal! Mieliśmy już trzydzieści rubli w kasie i trzeba było zerwać spektakl—opowiadał Wyżerko.

— A gdzież reszta towarzystwa?— spytał pan Maurycy.

— Rozjechało się wszystko. Dekoracje zafantowano, nawet mój kostium do Hamleta. Człowiek został w tem, co na sobie...

— Ale cóż właściwie zamierzasz pan teraz ze sobą robić?

— Trudno zgadnąć, panie dziedzicu, dobrodzieju. Los człowiekiem poniewiera! Chcieliśmy... to jest ja i Tuńka... przypomina sobie dziedzic dobrodzieju?... ta, co grała rolę tytułową w „Niani”, jechać z „monologami” do Ilży, do Opatowa. Ale wobec zupełnego braku garderoby porzuciłem ten zamiar. Teraz dążę do brata. Jest w tych stronach ekonomem. Kiedyś to tam i człowiek znalazł się niezłe na roli... Będę go wyręczał i przesiedzę do sezonu. A na lato chciałbym do Warszawy...

— To brat pański ekonomem? — spytał pan Maurycy.

— Od niedawna... od niedawna, panie dziedzicu. Kiedyś gospodarowało się na swoim... To jest ja i brat. Mnie sztuka pociągnęła, a on stracił. W tych czasach nie dziwnego. Gospodarstwo... kłopotarstwo—tłumaczył aktor.

Pan Maurycy zamyślił się.

— Więc pan trochę umiesz gospodarować? — spytał po chwili.

— Jakże! chowałem się przecie w wsi...

— To cobyś pan powiedział, gdybym go zrobił rządcą w Malinówce?

— Cobyś powiedział! Uważałbym dziedzica dobrodzieja, za... za... swego wybawcę! za dobroczyńcę! Wdzięczność do grobu... szacunek... poważanie—wygłosił z niskim ukłonem sługa Melpomeny...

— No! to biorę pana na próbę... Jak będzie dobrze, jeśli będę zadowolony... to zobaczymy.

— Opatrzność czuwała nade mną!—wybuchnął z przesadą Wyżerko. — Jak się tylko dowiedziałem, że pan dobrodziej nabył Malinówkę, zaraz pomyślałem: trzeba tam wstąpić. Pan dziedzic zawsze popierał sztukę, to biedaka nie opuści.

— Żebym się tylko na panu nie zawiódł! Lubię ludziom pomódz...

— Nie zawiedzie się dziedzic dobrodziej! Będę pilnował dobra pańskiego, jak oka w głowie. Przecie to dla mnie nie nowość! Napatrzyłem się u brata...

— Nie tyle mi idzie o gospodarstwo, bo ja sam będę dawał dyspozycyę, a pan potrzebuje tylko słuchać i wykonywać, ale chodzi mi o rygor, karność, subordynacyę. Tego właśnie w Malinówce brakuje. Ekonom, którego wypędziłem, rozpuścił służbę, jak bicz dziadowski. Trzeba to wszystko naprawić. Ja krnąbrności i zuchwalstwa nie znoszę. Niech pan o tem pamięta.

— A ktoby to tolerował, panie dziedzicu? Kto?—potaknął aktor. — Znam ja ich! Grywało się przecie w melodramatach, sztukach ludowych. „Emigracyi“, Czartowskiej Ławie“, Błażku opętany“. Znam ja ten ludek, tych *pocziwowych wieśniaków*.... Smaruj chłopa miodem...

— To! to! to! — potwierdził pan Maurycy. — Ja sam, choć jestem liberałem, widzę, że trudno z nimi trafić do końca dobrocią.

— Zrobi się, robi, panie dziedzicu! Już ja ich wezmę za czuby!—upewniał aktor.

— Zatem zgoda. Teraz chodź pan ze mną do dworu, dam panu coś z mojej garderoby na

tyczasem i spiszemy umowę dla porządku. Biorę pana na miesiąc, rodzajem próby.

Na drugi dzień po opisanej rozmowie, pan Alfons Wyżerko, artysta dramatyczny, filar scen prowincjonalnych, objął obowiązki ekonomy w Malinówce z pensją dwudziestu pięciu rubli na miesiąc i wiktem dworskim.

Już po paru dniach spostrzegł pan Maurycy, że nowy rządca widocznie nie zasypia gruszek w popiele. Służba zrobiła się grzeczniejsza, tytułowała go „wielmożnym dziedzicem“, lub „jaśnie panem“, czapkowała o dziesięć kroków. Jeszcze więcej upewniało go o energii Wyżerki klęcie i wymyślanie. Ilekróć wyszedł w pole, czy do stodół, słyszał zawsze, jak ekonom tubalnym głosem napędza do roboty, jak karei i dozoruje usilnie.

W bliższe szczegóły nie wdawał się pan Maurycy, bo zresztą, nie znając się na gospodarstwie, nie umiał zdać sobie sprawy, czy robota dobrze, czy źle wykonana była, czy fernal zorał morgę, czy pół morgi. Nie miał o tem żadnego pojęcia, a chodziło mu jedynie, żeby się ludzie w jego obecności *ruszali*.

Ludzie się też *ruszali*—był kontent.

Ale nowy „rzońca“ nietylko dziedzicowi, ale i służbie i najemnikom przypadł do gustu, znalazł sposób dogodzenia obu stronom.

Zaraz pierwszego wieczoru, po objęciu rządów, zaszedł Wyżerko do kuchni czeladnej i uciął do służby mówkę, która jak najlepsze w Malinówce zrobiła wrażenie.

— Widzicie, moi kochani — przemówił do zebranej służby — na ludzką pracę nie jestem łakomy, sam lubię wypocząć i wiem, że czasem krzyż wyprostować trzeba. Chociaż więc zaknę, to tak więcej dla oka... bo dziedzie, jakikolwiek tam byłby, zawsze dziedzie... Byłe słyszał, że się coś robi, o resztę mniejsza! Posłuszeństwo pierwsze, niż nabożeństwo. Korona z głowy nie spadnie, jak czapkę uchyłisz, a skłonisz się do ziemi. Kiedy ja mogę czapkować i dla was dyshonoru niema...

— Kiej pono z żydów?... — odezwał się któryś z parobków.

— Wszystko jedno. Jak płaci, to mu się uszanowanie należy. Zresztą z „pyskiem“ niedaleko zajędzie — odparł Wyżerko. — Pokora niebiosa przebijają, a ciebie cię dwie krowy ssie! Co wam do tego kto? Dziedzic i kwita!... — Ja sam mu będę mówił „jaśnie panie“. Czy to kosztuje?

— Juści nie — potaknęli słuchacze.

— A widzicie! Więc pamiętajcie, że jak ja będę miał spokój, to i wy także. A że czasem zaknę, no, bo na to jestem, żebym kłął. Zato na co innego będę patrzył przez szpary, bo kto przy kościele służy, ten z kościoła żyje...

Mowa pana „rzońcy“, zwłaszcza pełen humanizmu końcowy ustęp o szparach, trafiła w zupełności do przekonania słuchaczy, usposabiając ich dla nowego władcy bardzo przychylnie.

— Ludzki człek. Nie trzeba mu na despekt robić. Juścić dobrze gada... dziedzie dziedzicem! A choć to „nasz“ cebulskim zalatuje, to się prze-

cie od „jaśnie pana“ gęba nie sparzy — zawyroковано między sobą.

Było to najzupełniejsze *votum* zaufania. Zawarte w programowej mowie Wyżerki *pacta conventa* zostały jednomyślnie przyjęte i z ogólnem zadowoleniem stron interesowanych wykonywane.

Wędrowały więc obroki, siano, koniczyna, zboże z dworskich zabudowań do wiejskich zagród; gadzina przypadkiem pożywiła się na dworskiej łące; czasem któryś z parobków, wyjechawszy z plugiem za górkę przywiązał szkapy do krzaka i poszedł do chałupy babie pomódz, lub do lasu po jakie „kawałek“; najemnicy dopiero koło południa wychodzili do roboty, ale za to tak służba, jak i pańszczyzna, a nawet gospodarze wiejscy, gdy się tylko dziedzie ukazał, nosili czapki pod pazuchą, kłaniali się „jaśnie panu“ do kolan, a w polu, czy w stodołach, aż wrzało, tak się zwijali przy robocie, Wyżerko zaś kłął co się zmieści. Aby się nie dać zaskoczyć znienacka, pomysłowy rządcą stawiał jednego z robotników na straży. Jak tylko patrol dojrzał w oddali granatową „maciejówkę“ dziedzica, zaraz sygnalizował: „Idzie“!...

Wyżerko, najczęściej drzemiący w cieniu, zrywał się wtedy na równe nogi i rozpoczynała się istna bastonada kłatów i złorzeczeń, których, rzecz prosta, podwładni nie brali do serca, uważając je jedynie za punkta, objęte warunkami obopólnej umowy.

Z początku nie podobało się im tylko, że nowy „rzońca“ klnie jakoś odmiennie, nie po *ludzku*.

— Nie powie człowiekowi: ty *kundlu*, albo *chamskie ziebro!* jeno eudackie jakieś przezwiska nadaje—skarżył się Kuba fornał.— Stanąłem z plugiem na uwrociu—opowiadał—a tu Jędrzek krzyczy, że „idzie“... Jak ci się ekonom nie zerwie, jak nie zaczniesz wrzeszczeć! Mnie się pierwszemu dostało. Doleciał i peda: „Kuba! Hamlecie jeden! czegoż ty stoisz? Jak cię lunę, to ci się Ofelia przyśni... „Aż mnie zaćmiło od takiej pogańskiej nazwy...

Istotnie, pan Alfons Wyzerko kłął odmiennie, posiłkując się w przezwiskach głównie bohaterami szekspirowskich dramatów lub sztuk, które nie urządziły „klapy“. Czynił to prawdopodobnie z miłości dla sceny, której był wykolejonym filarem, w ten chociaż sposób przypominając sobie chwile dawnego powodzenia.

Ponadawał też Wyzerko całej służbie przezwiska z teatralnego repertuaru i tych stale przy dozorze lub dyspozycyi używał. Pierwiastkowo nowość ta, jak to widzieliśmy u Kuby, wywoływała drobne niesnaski, ale stopniowo przyzwyczajono się do *zagranicznej mowy* „rzońcy“, a z czasem przywyknięto do tego stopnia, że czeladź sama między sobą tytułowała się po aktorsku.

Najpierw uległa żyłce dramatycznej pleć piękna, dziewczki folwareczne i najemnice, które zjednał sobie Wyzerko przez nauczenie ich walca z „Ptasznika“. Rozumiano też przezwiska wybornie.

Bywało huknie w krowiarni:

— Juści gębę rozpuściła *Madame Sans Gene!*—to zaraz gruba Kaśka odrzeknie:

— O, ciewy! cóż to gadać niewolno!

Na kucharkę wołał pan Alfons *Dezdemono*, bo miała zazdrosnego męża; nocnego stróża, niegrzeszącego urodą, przewał *Hansem Jurgą*; pachciarza *Shyllokiem*; pokojówkę nazywał *Romeówką*; Kaśkę od krów *Madame Sans Gene*—o czem już wiemy—a polowego przemianował na *Poloniusza*, prawdopodobnie z powodu zbliżonego źródłosłowu.

Wśród najemników i najemnic były *Doryny*, *Karyatydy*, kilku *Fikalskich*, *Soloducha*, *Rip—rip*, *Gasparone*—bo i operetką Wyzerka nie gardził.

O ile z służbą, w początkowych chwilach szczepienia nowej nomenklatury, miewał rządca niejakie zatargi i nieporozumienia, o tyle dziedzie uważał sprawę za bardzo użyteczną.

— Bardzo dobrze—mówił do Wyzerki—że pan grubiaństwo zarzucił. Dla wieśniaka z edukacją nawet słuchać nieprzyjemnie takiego paskudztwa! Po co mówić „psia dusza, drwalu?“, kiedy jest na to inny wyraz! Bardzo chwałę pański sposób... Bardzo!

Czasami nawet, w przystępie dobrego humoru, sam pan Maurycy używał zwrotów ekonomy, zmieniając niekiedy przytem „obsadę ról“. I tak naprzykład, pastucha źrebiąt, Wicka-Romea, przerobił na Wicka-Mazepę, co ze względu na styczność z końmi, mającymi związek z tragiczną śmiercią niešťęśliwego paza, wydało mu się właściwsiem. Krótko mówiąc, stosunek dziedzica z rządcą był jaknajlepszym, nie przeto dziwnego, że jeszcze przed upływem próbnego miesiąca pan Maurycy zawarł kontrakt z eks-aktorem.

Z rozpoczęciem sianokosów, kiedy już dwór został zupełnie odnowiony, naglony listami żony, wybrał się pan Maurycy po małżonkę i dzieci do Warszawy.

Na wyjeździe, zawoławszy pana Alfonsa, polecił mu gorąco pieczę nad gospodarstwem i wyjaśnił nawiasowo w delikatny sposób, że życzyłby sobie, aby służba i gromada zgotowała jemu, żonie i dzieciom przyjęcie, jako dziedzicom, którzy pierwszy raz do swojej własności zjeżdżają.

— Pan masz do tego głowę, panie Wyżerko!—mówił. — Urządź pan to wszystko z szykiem, jak to ja lubię... Pan wiesz? Przyjedzie może z nami parę osób z Warszawy na lato... Niech wiedzą, co to znaczy mieć swoje dobra. Ludzie dostaną wódki i piwa, niech im pan to powie dla ochoty... a i pana prezent nie minie...

— Zrobi się, panie dziedzicu, zrobi! — upewniał z istotnym zadowoleniem z okazji popisu Wyżerko.

— Na kosztą niech pan nie zważa—przerwał w dalszym ciągu dziedzic—kazałem pachciarzowi dać ile potrzeba. Pan potrzebuje tylko wystawić kwitek. Może być i muzyka...

— Zastosuję się do woli pana dziedzica. A że będzie dobrze, zaręczam! jakem Wyżerko! Chciałbym tylko dokładnie wiedzieć, kiedy wielmożni państwo zjadą... to konieczne...

— Za jaki tydzień. Zresztą przyślę depeszę do pana. Tymczasem trzeba być w pogotowiu...

— O, pan dziedzic nie zawiedzie się na mnie!

— No to bądź pan zdrów — rzucił na rozstaniu pan Maurycy i z różowemi myślami ruszył do Warszawy.

Po jego wyjeździe wziął się Wyżerko ostro do dzieła. Zawiesiwszy wszelkie roboty gospodarcze, użył całej służby do sporządzenia bram tryumfalnych i przyozdobienia dworu w wieńce i girlandy z świerczyny. Sołtysowi podarował dwie fury siana, stojącego w kopach, byle tylko z gromadą, odświętnie przystrojoną, w oznaczonym dniu, na granicy Malinówki, przyjazdu dziedziców oczekiwali.

Według rozkładu kolejowego, przybycie warszawskich gości mogło nastąpić tylko wieczorem. Nasunęło to Wyżerce nowy pomysł: A gdyby tak „żywe obrazy“?

Widział wprawdzie niejakie trudności w wykonaniu, lecz postanowił je zwalczyć. Najodpowiedniejszym mu się wydało coś z mitologii... muzy... bożkowie... fauny.

Chwyciwszy się tej myśli, nakreślił plan obrazu. Shylloka wysłał do miasta po niektóre potrzebne rekwizyta, a głównie po zafantowaną garderobę teatralną, zamierzając po odpowiednim przerobieniu użyć kostyumów z „Pięknej Heleny“ dla wiejskich Kasięk i Marysięk, Kubów i Jacków, przeistoczonych na mieszkańców Helikonu. O odpowiedni personel żeński było dość łatwo, co do męskiego okazały się niejakie trudności, więc też Wyżerko ograniczył ilość mitologicznej brzydkiej połowy do Merkurego i Wulkana.

Rolę Merkurego powierzył gajowemu, na Wulkana znalazł doskonałego przedstawiciela w utykającym na nogę kowalu. Sprowadzony z miasteczka krawiec Szłomka dopasowywał szaty dla zbyt korpulentnych muz, a sam pan Wyżerko umiejętnie przygotowywał ognie sztuczne, na czym się znał, bo przez jakiś czas piastował godność inspicienta teatralnego, zaś przed wieczorem odbywały się na dziedzińcu „próby”.

Wszystko szło jaknajlepiej. Po kilku próbach, przekonał się, że silna wola wszystkiego dokona.

— Nawet z takiego bydła coś zrobić można—mówił do siebie z zadowoleniem, patrząc na Parnas, z malinowszczanek złożony. W samej rzeczy, przystrojone w greckie tuniki, pepla i chlamidy, dziewczęta przedstawiały się niezgo.

Melpomene wcale nieźle reprezentowała przy-sadzista Kaśka „od krów”; Maryśka, córka polowego, dziewczka żyłasta a krwista, była pełną zdrowia *Euterpa*; *Terpsychora*, uosobiona przez żonę stan-greta, imponowała cielesną budową; Józka, przedzierzgnięta w *Klio*, wybornie wyglądała w powiewnych tarlatanach; nad wszystkimi jednak górowała urodą i wdziękiem Jagusia, jako *Erato*.

Pan Alfons, reżyserując „próbami”, po każdej upewniał się, że powodzenie dopisze, a wykonawcy nie pokpią sprawy. Miał wszystko w pogotowiu, chodziło tylko o wybór miejsca na prowizoryczną scenę. Upatrzył niebawem najodpowiedniejsze.

Stała w Malinówce stodoła z młocarnią, zwrócona szczytem ku dworowi. Był to budynek oka-

zaly, drewniany, ale na murowanych filarach, świeżogontem z rozkazu pana Maurycego pobity. Związano doń już nieco siana, ale pan Wyżerko, postanowiwszy tutaj urządzić scenę, przerwał zwózkę, kazał siano z jednego zapola uprzątnąć i sporządzić odpowiednie wzniesienie z desek. Prócz tego polecił wyjąć z dwóch przaseł drewniane okrajki ściennne, zawiesił w tem miejscu wańtuchy, mające zastąpić kurtynę, za której podniesieniem przez otwór ścienny widzieć można było całe wnętrze stodoły.

Urządziwszy scenę, która mu najwięcej troski przyczyniła, pewny siebie, oczekiwał z niecierpliwością depešy, zwiastującej przybycia dziedziców.

— Dopiero „mechesom” *frajde* zrobię! — cieszył się w duchu.—Ciekawym, jaki ja będę miał za to *benefis*?

Nareszcie jednego ranka, posłaniec z telegrafu przyniósł lakoniczną depešę: „Dziś wieczorem—niech się pan szykuje... Dziedzic”.

Przeczytawszy te słowa, pobiegł Wyżerko na wieś do sołtysa, dał mu kwit na dwa wiadra wódki do karczmy i najsolennie zalecił już od południa ezatować z gromadą na granicy Malinówki. Sam wrócił do domu, własną ręką pozawieszał girlandy i wieńce, a następnie odbył „generalną próbę w kostyumach” i z akcesoryami. Dla Wulkana przyniesiono największy młot i kowadło z kuźni.

Przed wieczorem dosiadł konia i, zaleciwszy karbowemu, aby za zbliżeniem się pojazdów, zapalono ognie bengalskie i podniesiono w górę wańtuch, ruszył na miedzę do gromady. I tutaj zna-

laż wszystko w porządku. Cała wieś wyległa na to widowisko. Poczęstunek zrobił swoje.

Zmierzchało już, gdy wysłany patrol dał znać, że jada. Niebawem ukazały się trzy pojazdy, wiozące państwa Malinowskich z dziećmi i zaproszonych gości z Warszawy. Pierwszy pan Alfons podrzucił czapkę do góry, krzyząc:

— Wiwat!

Zawtórowało mu kilka głosów, zrazu nieśmiało, potem coraz głośniejsze, a gdy pojazdy zrównały się z oczekującymi, cała gromada, przez sołtysa zachęcana, wołała: *wiwat!* choć jaki taki śmiał się na uboczu.

Pan Maurycy, wychyliwszy się z powozu, kłaniał się na wszystkie strony, kłaniała się pani Amelia, kłaniał Leon i Różia, kłaniali goście. Uradowany przyjęciem pan Maurycy, rzucił nawet garść srebrnej monety i kazał jechać wolno, aby się widokiem miłym jego sercu nasycić. Do Wyżerki, obok jadącego konno, odzywał się co chwila z pochwałami:

— Ładnie! bardzo ładnie! dostaniesz pan dwadzieścia pięć rubli gratyfikacji.

Wyżerko uśmiechał się pod wąsem, jakby w przewidywaniu, że nie na tem koniec.

— Jak zobaczy „żywe obrazy“—myślał—zdecychnie z radości i da pięćdziesiąt!

Nie przewidywał nic złego: dotychczas wszystko szło, jak po maśle.

Dojeżdżano już do stodoły, zakrywając niespodziankę. Rządca ruszył nieco szybciej przodem i zakomenderował:

— Już! hop! hop!

Na to hasło, rozstawieni pod stodołą chłopcy zapalili ognie bengalskie, podniosły się w górę wańtuchy, i oczom przybyłych ukazał się niespodziewanie dość dobrze ułożony obraz dziewięciu Muz na Helikonie.

— A! a! a!—dało się słyszeć z pojazdów, a Wyżerko, podbiegłszy do pani Amelli, jednym tchem wyrecytował:

— Oto Muzy witają dziedziczkę!

Nie dokończył jeszcze oracyi, gdy nagle straszny krzyk dał się słyszeć z wnętrza stodoły:

— Gore! gore!

Wulkan, który z obowiązku musiał być zopatrzonej w ogień, sparzywszy rękę, rzucił na ziemię tłący zwitek papieru z wybuchającym materiałem. Iskry padły na znajdujące się w stodole resztki siana i w mgnieniu oka cały budynek stanął w ogniu.

Przestraszone Muzy, drąc się w niebogłosy, zaczęły co tchu uciekać z Helikonu; Merkury wołał z całych sił: Gore! wody! ratujcie! ludzie! krześcijany! bo ogień na wieś przejdzie...

Rzucono się na ratunek, lecz nadaremnie. Ludziska boso, nie bardzo ochotnie garnęli się do ognia, a i wody brakło. Szczyściem, że wiatru nie było, i katastrofa ograniczyła się tylko na zaimprovizowanym teatrze.

Na taką niespodziankę nie był Wyżerko przygotowany, stracił też zupełnie głowę. Biegł, jak opętany, z miejsca na miejsce, krzyząc:

— Królestwo za sikawkę!

Był to głos wołającego na puszczy.

Pan Maurycy, pani Amelia i goście zaraz przy pierwszym okrzyku: „gore” wyskoczyli z pojazdów i pędem pobiegli do dworu. Bali się samego widoku ognia. Pani Amelia parę razy mdlała, a pan Maurycy biegał od okna do okna, zaciskał pięście i, zapomniawszy o swej obywatelskiej godności, co chwila z głębi piersi wyrzucał:

— Aj! waj! mir! a! waj! mir!

Dopiero, gdy płomienie przygasły i pierwsze wrażenie strachu przeszło, podszedł do żony, mówiąc:

— Amelcia! nie bój się. Stodola była asekurowana.

— Na wiele?—pytała szeptem pani Amelia.

— Na dwa tysiące. Straty nie będzie. Ale za ten strach, ja tego Wyżerkę wypędzę, gdzie pieprz rośnie! Niech tam robi takie iluminacye, gałgan! On tak stworzony na rządę, jak my do baletu.

Wyżerko nie zjawił się we dworze, aż dopiero drugiego dnia, wierząc widocznie, że noc przynosi ulgę. I nie zawiódł się: pan Moryc ochłodził z pierwszego gniewu, a i rachunek wykazał, że asekuracya pokryje koszta.

Zwymyślał wprawdzie ekonomia od „gałganów”, „obieżyświatów”, „czarnych charakterów”, ale skończyło się tylko na wypowiedzeniu służby.

Że jednak Wyżerko kontraktu zwrócić nie chciał, dał mu „odczepnego” pięćdziesiąt rubli i kazał iść na złamanie karku.

.....

W parę dni potem ukazało się w pismach ogłoszenie: „Jest zaraz do wydzierżawienia wieś Mali-

nówka, z inwentarzem i zacierami. Właściciel pragnie zachować dwór i ogród dla siebie. Warunki bardzo przystępne“.

Pan Maurycy, zrażony na wstępie, nie chciał już widocznie nadal gospodarować *na siebie*.

Pan Alfons Wyżerko, mając pięćdziesiąt rubli gotówki i kilka kostyumów, odebranych Muzom po pożarze, zamierza zorganizować nowe „towarzystwo dramatyczne”, pod swoją dyrekeją, z repertuarem, złożonym wyłącznie ze sztuk ludowych. Gospodarstwo ani mu już w głowie...

JUDKA GRAFOLOG.

Cały świat znał Judkę Pomeranca, kupca II-ej gildyi z Bydłatkowa.

Jeżeli się mówi: „cały świat” to nie trzeba zaraz myśleć o dalekich krajach, Brazylii, Argentynie, bo i po co? Co komu przyjdzie z tego, że znany w zamorskich stronach, jeżeli on tych stron nie zna, jeżeli tam nie jeździł za interesami? Taka znajomość całkiem nie potrzebna i nie przydatna.

Inna rzecz, gdy kupiec, co ma własny zajazd, sklep korzenny i delikatesowy, co handluje ze szlachtą i prowadzi pieniężne operacye, jest znany w świecie, mającym co prawda tylko kilkanaście mil obwodu, ale posiadającym w swym obrębie takie ładne i handlowe miejscowości, jak: Guzików, Kaluże, Zachwastów lub Koziedolki, w których co tydzień odbywają się słynne jarmarki: jeśli on jest jak u siebie w domu we wszystkich Wólkach, Górkach i Nizinach, co się wiankiem po tym ładnym szmacie świata rozsiadły, gdy z każdym szlachcicem, bez uprzedniej prezentacyi, może zrobić dobry interes — to jest dużo wygodniej, niż cała Ameryka razem.

W takim to świecie, w takim kawałku świata, kupcowi do szczęścia nie więcej, prócz pieniędzy, nie potrzeba.

Taki to świat znał Judkę, a i on znał ów świat równie dobrze. Była to spółka, oparta na wzajemnej znajomości.

Lecz że nikt bez danej racyi rozgłosu nie zyskuje i do sławności Judki poważne znajdowały się przyczyny. Możliwy z nich opisać taki rejestr, jak warunki licytacyjne na naprawę szosy.

Po pierwsze, najpiękniejszy dom w całym Bydłatkowie, w samym rynku, z podsieniem na filarkach, był własnością Judki Pomeranca. Zajazd i sklep korzenny, w którym wszystkiego, czego dusza zapagnie, za gotówkę i na kredyt (jak komu) dostać można było, zarządzane przez małżonkę Judki Ryfkę, mieściły się w tym domu, a oprócz tego właściciel miał tam jeszcze bardzo piękne pomieszczenie z alkierzem dla rodziny, śpiączkę na zboże, stajenkę, dwie izby wydzierżawione bardzo porządnym lokatorom, co się faktorstwem trudnili.

To był pierwszy punkt rozgłosu Judki.

Po za tym punktem, on jeden na cały Bydłatków miał dach czerwoną blachą kryty; był jeszcze jeden punkt, drugi, najgrubszy szczebel w drabinie jego sławy. Judka był kupcem II gildyi, największym pieniążnikiem, najgrubszym kapitalistą na cały dziesięćmilowy wokół świat!

Powiedzieć „kupiec”—to jest bardzo mało, to jest prawie tyle, co powiedzieć „las” albo „ryba”, to jest całkiem lichy nazwanie. Jest las, co w nim można czworokonną karetą swobodnie nawrócić; jest i taki gąszcz, co porządnemu kapitaliście strach nocą iść przez niego; jest młody zagajnik, jest i starodrzew z sosnami, co paręset kubików mają, a wszyst-

ko las. To samo i z „rybą“. Pięciofuntowy szczupak ryba i płotka ryba!—a przecie jest między nimi kawałek różnicy.

Tak samo i w kupieckim stanie. Nie dość powiedzieć: kupiec; należy dodać jeszcze: jaki. Są i tutaj różne rangi i specjalności, jak nie przymierzając u doktorów. Jest specjalista od gardła, od kobiecych słabości, od cukrowej choroby, od delikatnej skóry...

Jednemu najlepiej pasuje wątroba, innemu lubuje ból w środku, a wszystko to są doktorowie, tylko po kawałku medycyny między siebie rozdzielili. Jest to taka parcelacya chorób.

Tak samo i kupców.

Ten handluje skórkami, ten szmalcem, inny kupuje zboże, inny jeszcze z wełną ma do czynienia, ten ma w ruchu sto, ten tysiąc rubli. Wszystko to są kupcy, choć każdy w innym towarze pracuje.

Ale jak między doktorami trafi się jeden taki znaczny medyk do wszystkiego, co każdej słabości zaradzi, z każdą chorobą ma znajomość i czy to taki, czy owaki kawałek boleści, mały czy duży feler, on na wszystko hurtem recepty pisze — tak i w kupieckim świecie.

Na sto, na tysiąc żydków, trafi się jeden taki hurtownik z pieniędzmi, z dobrą głową do każdego interesu; taki towaru nie sortuje, nie przebiera w nim, bo jemu jedność. Skórki to skórki, szmele to szmele, sto par, zgoda, byle był zarobek, grosza na wszystko starczy, a jeszcze potrzebnemu pożyczką, czy to na pierwszą hypotekę, czy na solidarny weksel wygodzi.

Jednak potrzeba na to być wielkim pieniążnikiem; stąd cała rzadkość, cały rarytas!

Judka Pomerane był właśnie taką osobą, co choć z chamami wdawać się nie lubił, żadnego interesu nie przepuścił. Bywało, że szlachcicowi padnie kilkadziesiąt skopów, Judka skórki kupi, a po drodze tuczną gęś na sabat od chłopki nabędzie. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Interes z interesem nie będą się z sobą kąsały, jak dwa kundle wiejskie, a i wstydu w tem żadnego niema. Z małych zysków przez rok urosnie wielki zysk.

Judka kupił na handel świadectwo II-jej gildyi, ale i bez tego ludzie o nim wiedzieli.

A trzeba go było widzieć przy interesie, w ruchu! jakie obycie, jak słodką mowę, jaką wyrozumiałość miał!...

Daleko poszukać!

Nie przeto dziwnego, że ta głowa u wszystkich miała poważanie i znacność, a choć w okolicy bogatych kupców nie brakowało, Judka był między nimi, jak, nieprzymierzając, szczupak między płotkami.

Choć w Anglii nigdy nie był i tylko cukierki angielskie w swoim sklepie trzymał, wiedział on, że „czas to pieniądz“.

To też cały tydzień rozłożył sobie na raty. W poniedziałki jeździł najętą bryką na jarmark do Kozieloków, we środę do Guzikowa, we czwartek, jako w dzień targowy, siedział w rodzinnem mieście i załatwiał interesy z kupecami, w piątek do południa urzędowe sprawy, z wójtem lub z panem komornikiem, przeglądał kontrakta i rewersa, a od południa

przygotowywał się do święcenia sabatu albo w mykwie, lub zatapiając się w talmudycznych rozmyślaniach. Czasem dla rozmaitości obliczał całotygodniowe zyski.

Dla wiejskich interesantów, których dzielił na „ruchomość“ i „nieruchomość“, poświęcał Judka niedzielę i wtorek, to jest dni, w które w okolicy żadnego jarmarku nie było.

Dla czego Judka dzielił interesantów na dwie połowy; na ruchomość i nieruchomość? skąd mu taki concept przyszedł do głowy?—należy koniecznie wyjaśnić.

Ruchomością była ta szlachta, która się w potrzebie do Judki sama zgłaszała; nieruchomością ci, do których Judka fatygować się musiał; z pierwszymi tranzakcyje załatwiał u siebie w domu, do drugich z własnej woli lub na wezwanie jeździł. W nazwie tej było przeto nieco subiektywnego sądu. Właściwie w pierwszym wypadku sam Judka był nieruchomością, lecz Judka wołał tym epitetem, przenicowanym na wywrot, obdarzyć swych kuzynów i nikt mu tego zabronić nie miał prawa. I w samym interesie nawet była kapka niesprawiedliwości.

Kiedy bowiem ruchomość, ludzie grzeczni, sami nieraz po psiej drodze przyjeżdżali w niedzielę do Judki, to on był twardy i nie raz mu pieniędzy brakowało do interesu. Przeciwnie, z nieruchomością nigdy tego zdarzenia nie było. Choć kości natrzęsł, zmarł lub przemókł i humor miał dobry i grosz na zawołanie gotowy, a mowę przy interesie słodką, jak miód.

Judka wiedział co robi i czasem, gwarząc przy rodzynkowem winie dla nauki młodszego pokolenia, zwierzał się ze swego postępowania w ten sposób:

— Z pierwszych—mawiał—mam nawet i zysku więcej, lecz czasem się trafi omyłka, brzydki podpis, niewyraźny kontrakt, czasem spadnięcie z hipoteki. Takie wypadki siedzą w mojej pamięci, jak gwóźdź w ścianie, jak tłusta plama na czystym suknie interesu, co ją zawsze widać. Człowiek, gdy zobaczy taką plamę, zaraz mu w pamięci staje całe zdarzenie, cały feler! On jest zły! Trzeba go ulagodzić, trzeba w wesele wprowadzić... a jak? co może kupca w dobry humor wprowadzić? Zysk, gruby zysk. Jak jego niema, to plamę ciągle widać.

— Co do drugich—rozumował Judka—jest całkiem inna okoliczność, cały wałtuch odmiany. Zysk mniejszy, ale bez kosztów, bez turbacyi, bez pana komornika! A jest i honor! Gdy kupiec robi interes na pięćset par oziminy, gdy daje na prosty rewers kilka tysięcy rubli czystego grosza, lub na 12% na hipotekę, jest w tem kawałek honoru, szczypta wygody, kapka grzeczności, jest ładnie. Ale i ten honor nie jest bez korzyści, on nie jest pusty...

Wygodzić grzecznie jednemu szlachecowi, powie drugiemu, trzeciemu, tuzinowi szlachty. Wiać domość rozchodzi się w tantnym świecie i powoli wszystkie dobre geszefty, choć z małym zyskiem, cisną się do kieszeni, aż się zrobi pełno...

— Tak! i honor nie potrzebuje być wydrązo-

ny, on jest nadziany, jak faszerowany szczupak interesami—mawiał Judka.

Do interesów drugiej kategorii wyjeżdżał kapitalista z Bydłatkowa własnym ekwipażem, resorową, na licytacji kupioną bryczką, zaprzężoną w siwą hreczkowatą kobyłę, co wtorek. W ten dzień, swobodny od jarmarcznych zajęć, puszczał się Judka, jak zapisał, między szlachtą po okolicy. Od lat kilkunastu robił to co tydzień, przez co i bez kalendarza wiedziano, że gdy Judka siwą jedzie (na jarmarki przysiadał się na furmanki), to jest wtorek. Żadnej pod tym względem omyłki być nie mogło.

To też wszystkich stałych mieszkańców Bydłatkowa ogarnęło zdziwienie, gdy jednej środy, podczas największego ruchu, z bramy zajazdu wytoczyła się znana wszystkim bryczka Judki Pomeranca i on sam we własnej osobie, przyodziany w biały kitel, wyjechał z miasta...

Gdyby główny los na saską loteryę padł w Bydłatkowie, nie byłby większego zamieszania wywołał! Co się stało? Wszyscy koszeri mieszkańcy Bydłatkowa byli środowym wyjazdem Judki niezmiernie zaciekawieni. Biegając między chłopskimi furami, chałatowe osobniki zaczęły się skupiać w gromadki, szwargotać, radzić.

— A siehstt du! ist gefahren! Mittwoch!—Komunikowano sobie wzajemnie.

Ciekawość z każdą chwilą wzrastała, aż nareszcie kilku śmielszych udało się do sklepu korzennego, z chęcią wywiedzenia się czegoś pewniejszego od pani Ryfki. Pani Ryfka, choć dobrze wiedziała, że w kupieckim interesie potrzebny jest kawałek se-

kretu, nie mogła wytrzymać (taka to jest kobieca natura) i wygadała się, że Judka odebrał pilny list od dziedzica z Jesionki, że miał z sobą pięć tysięcy rubli i nawet bez obiadu pojechał.

Tym razem gadatliwość małżonki nie zaszkodziła interesowi męża, gdyż nikt w drogę mu ani chciał, ani mógł wchodzić, a zaspokoila ciekawość ogólną.

Wśród kupeczącej rzeszy szybko rozniosła się wieść o liście, o pięciu tysiącach rubli. Komentowano ją na swój sposób, powtarzając na głosy:— „A fünf tausend Rübelle!... a Brief von Jesionka!... a grojsses Geszeft!” — złych zamiarów jednak nikt nie miał.

Z Bydłatkowa do Jesionki nie było całej mili. Siwa wypoczęła przez cały tydzień, więc, mimo staropanieńskich wiosen, dość zwawo przebierała nogami po przypiaskowej drodze. Judka palił fajkę, kiedy niekiedy cmokał i śmigał batem, zachęcając kobyłę do szybszego ruchu i rozmyślał nad tem, na co właściwie szlachcic z Jesionki mógł takiej dużej sumy potrzebować?

— Fünf tausend Rübelle!—mrucał—na co jemu tyle?

Różne myśli przychodziły mu do głowy, lecz każdą z nich odrzucał po małej chwili rozważenia.

Dziedzic Jesionki, choć gotowego grosza nie miał, stał dobrze, zboża na „zielono“ nie zwykł był sprzedawać, długów hipotecznych, ani kieszonkowych nie miał. Należał on do najrarityniejszych nieruchomości Judki. Zboże sprzedał... co do goździny w terminie oddał. A jakie doczyszczone! na

mace! Na „słowo“ można u niego było i dwieście par kupić. Mogło iść później zboże w górę, choćby o dwa ruble na korcu... i brwi nie zmarszczył, żadnej dopłaty nie zażądał; nie tak jak drugi, co zaraz kupcowi zarobku zazdrości, jego szczęściem chce się dzielić... Sprzedał, to sprzedał! Taki charakter miał.

Judka z panem z Jesionki nie od dziś handlował. Całą prawie krescencyę wełny zakupywał, nigdy jednak wcześniej, niż około Nowego Roku. Ale przed świętym Janem! kto słyszał?

— To trafi to bardzo rzadki trafi!—powtarzał w duchu kapitalista, nadaremnie starając się przeniżnąć przyczynę.

Poważne myśli bardzo skracają drogę. Ani się spostrzegł Judka, jak w niespełna godzinę zjechał pod jesionkowskie stodoły. Tam zawsze swój ekwipaż lokował. Dostrzeżono go we dworze i sam dziedzic wyszedł naprzeciw ku bramie.

— A, kochany panie Judka!—zawołała na wstępie do kłaniającego się uniżenie kupca—dziękuję ci serdecznie, że na moje żądanie przyjechałeś, a w dodatku dziś, kiedy to u was jarmark.

— Wielka rzecz! Ja zawsze do usług wielmożnego pana, choćby w nocy!

— No, chodźmy do dworu!—mówił dalej szlachcic—tam swobodnie pogadamy... Pewnie jesteś ciekawy na co ja tyle pieniędzy potrzebuję, he? No, przyznaj się?

— To się wie, wielmożny panie! choć co to ma do interesu? Dla pana dobrodzieja czy wlecie czy w zimie, pieniądze zawsze muszą być! Jedno

słówko... i dość! Czy ja to od dziś z wielmożnym panem handluję?

Tak rozmawiając, doszli do dworu. Szlachcic usiadł w ganku, kupiec z uszanowaniem przystanął opodal.

— Siadaj, siadaj, panie Judka... musimy dłużej porozmawiać.

Judka skłonił się za taką delikatność i grzecznie usadowił swoją osobę na ławce.

— Może zapalisz cygaro?

— Jeżeli łaska pana dobrodzieja.

Szlachcic podał cygaro; żyd zuowu uniżony oddał pokłon.

— Otóż, mówiąc krótko, mój łaskawco!—rozpoczął po małej przerwie dziedzic Jesionki—wydaję córkę za męż... no i potrzebuję pieniędzy. Mojej Zuzi trafił się porządny człowiek... pokochali się... szczęście Boże!

— Szczęście Boże! Szczęście Panie Boże!—dorzucił ze swej strony Judka.

— Jak wiesz, gotówki nie mam—kontynuował pan domu—a tu wyprawa, wesele... rozumiesz? Posagu teraz dawać nie potrzebuję, ale zawsze będą wydatki, kilka tysięcy rubli... Otóż myślę, że mi w tym wypadku wygodzisz. Zboża na pniu sprzedawać nie chcę, bo dyabeł tam wie, jakie będą ceny! Hypoteki mazać także nie miałbym ochoty. Chybabyś mi na zwykły rewers pożyczyl?

— Na co kwit? na co rewers? u mnie słowo wielmożnego pana znaczy więcej, niż akt rejentalny. O jej! choć cały majątek dam!

— Tak się to gada, panie Judka... śmiertelni jesteśmy... Lecz, mówiąc na seryo, jakież procent będziesz liczył?

— Procent! zaraz procent! Na dziesięć procent! szlachecki procent, jakim żyd urodzony!

— Zgoda. Pieniądze masz?

Judka wydobyl skórzany, zatluszczony pugilares.

— W takim razie napiszę rewers. Spłacę ci w dwóch ratach.

— Wielmożny Panie! ja co powiem—przerwał Judka.—Zrobimy tak: Ja wielmożnemu Panu pięć tysięcy dam, dziesięć procent wezmę, ale po co mam pieniędzmi odbierać? Co za gwałt? Pan dobrodziej mi sprzeda na pierwszą ratę pszenicy lub wełnę bez ceny... Co będę płacić, zapłacę...

— Zgoda i na to! — rzekł po namyśle szlachcic.—A teraz porachujmy się.

Już miano się zabrać do utrwalania na piśmie przed chwilę ułożonych warunków, gdy na ganek wbiegło szesnastoletnie, jasnowłose dziewczę z okrzykiem:

— Tatusiu! tatusiu! patrz!

I rzuciła się szlachcicowi na szyję.

— Patrz! i mnie i Zuzię opisali.

— Gdzie? co ty trzpiocie? Nie przeszkadzaj nam moja Basiu! Nie mam czasu—tłumaczył, udając gniew.

— Ależ tatuńciu! pan Judka poczeka, prawda?—rzekła rozochocona dziewczyna, zwracając się do kapitalisty... prawda?

I, nie czekając odpowiedzi — podsunęła pod oczy ojca numer „Tygodnika Ilustrowanego“.

— Patrz! czytaj—mówiła, wskazując różowym paluszkiem odpowiedzi grafologa.—Miesiąc cały czekałyśmy na to z Zuzią... A otóż i ona!

Na progu domu ukazała się druga córka pana domu, smągła brunetka, ta właśnie, na której wesele Judka pieniądze pożyczał.

— To przeczytajże już sama... Przepraszam cię, panie Judka! ale widzisz z dziewczętami to tak zawsze. No! czytajże już trzpiocie!

Basia starała się przybrać poważną minkę. Figlarne oczy mówiły jednak co innego.

— Tylko proszę się nie śmiać. Zaczynam.

„*Stokrotka*. Charakter kapitalny, serce złote, dziewcze z buzią jak malina, ale kozaczek!“

— To o mnie!

Szlachcic śmiał się do rozpuku!

— A teraz o Zuzi.

„*Czarnej róży*. Uspodobienie melancholijne, umysł skłonny do rozmyślań, stałość charakteru, anielskie serce“.

— A to trafił! to trafił! niechże go! — zaśmiał się ojciec.

— Co to z przeproszeniem jest?—zapytał zaciekawiony kapitalista.

— Odpowiedzi od grafologa. Widzi pan kupiec — tłumaczyła trzpiot Basia — w Warszawie są tacy panowie, co dość do nich list wysłać bez podpisu, a oni, nie znając osoby, z charakteru pisma, z liter odgadną, czy osoba jest dobra, czy zła, we-

soła, czy smutna, czy lubi śmiać się, jak ja, czy dumać, jak Zuzia...

— Jak się oni nazywają?—zapytał kapitalista.

— Gra-fo-lo-go-wie! — objaśniło z uśmiechem dziewczę.

— To i ja jestem taki grafolog! Na sumienie! niech się panienka nie śmieje! To nie taki wielki interes. I ja z pisma poznam, co kto wart! Na sumienie!

Dziewczęta zanosily się od śmiechu.

— A w jakim to sposób, mój Judko?...—wtrącił rozweselony pan domu.

— Zaraz wielmożnym państwu opowiem. Z nas kupców każdy prawie potrzebuje mieć z pismem do czynienia. Czy kontrakt, czy rewers, czy akt rejentalny, to wszystko pismo. Mnie, chwalić Pana Boga! tego towaru nie brakuje, a źleby było, żeby się na towarze nie znać. Pismo pismu nierówne, jak nieprzymierzając, ziarno ziarnu. Jest pszenica porosła... ze śniecią... Co cena warta? jest druga jak wybierana, choć na mace zdatna... Tak i z pismem. Na różne pisanie jest różna cena, a kupiec o tem powinien wiedzieć. Powinienem znać gatunek...

— A to ciekawa historia! Gadaj-no dalej mój panie Judka!—wtrącił pan domu.

— Są różne gatunki, różne sorty. Jeden ma taki charakter nieczytelny, taki niewyraźny podpis, że na jego kontrakt lub rewers, trudno i grosza dać. Takie pismo potrzebuje być wyraźniej podpisane. Czasem wystarczy z dożywociem jak się znajdzie drugi solidarny podpis mamy, jeśli on ma mamę, czasem żony z intercyzą... Jak kiedy! Są i takie gatunki

kontraktów, co im nawet solidarny podpis nie pomoże. Trzeba, żeby je rejent przepisał na stemplu jak prawo chce, wtedy je dopiero kupiec czytać może, a jeszcze inne, najlichszy sort, co muszą być pisane na dwie ręce i u rejenta i w hipotece z zastrzeżeniem. O jej! ile ja już takich widziałem.

Ojciec z córkami zanosili się od śmiechu.

— Czasem — wykladał dalej kapitalista — jest podpis co mu żadne przepisanie nie pomoże. Trzeba się lepiej znać, niż ten z Warszawy... Jak on się nazywał?! Graf...

— Grafolog! niż ten grafolog na sumienie!

— A czy cię panie Judka, twoja znajomość pisma nigdy nie zawiodła?—spytał szlacheic.

— Nigdy, jak nigdy, ale bardzo rzadko. Raz tylko jeden miałem paskudną omyłkę. Wielmożny pan pamięta tego młodego pana Zyzia z Rudki? On tak sobie ładnie jeździł, a mówili, co się bogato żeni. Będzie temu dwa lata zajechał do mnie w cztery konie i mówi, że chce sprzedać pszenicę, bo potrzebuje tysiąc rubli zaraz. On opowiadał, że musi dać składkę na kościół, bo rodzina jego narzeczonej bardzo nabożna, że jemu wypada dać dużo, bo jest kolektor...

— Chyba kolator!—przerwała Basia.

— Wszystko jedno! kolektor czy kolator, on i tak nie zapłaci, a jego kontrakt—tu Judka pokazał kieszeń — dotąd tutaj siedzi. Paskudnik! a jak ładnie mówił, jak podpisywał... To była omyłka, gruba omyłka, bo jemu panny nie dali, już był bankrut i za moje pieniądze potrzebował wyjechać i nie wrócić...

— A mój podpis dobry?—zagadnął półzartem pan domu.

— Co to wielmożny pan żartuje? Po co pytać! Choć dziś... jedno słówko i pieniądze są... A to ta panienska idzie za mąż?—spytał, wskazując Zuzię.— Powinszować! powinszować!

Dziewczę zarumienione wybiegło z pokoju.

— Tak jest, panie Pomeraniec! — w imieniu siostry odpowiedziała Basia.

— Każ - że nam podać herbaty — przerwał, zwracając się do córki, ojciec, bo Judka głodny, to gotów jeszcze pieniędzy na wyprawę dla Zuzi nie pożyczyc.

— Wolne żarty pana dobrodzieja! — zaoponował żyd.

— A na moje wesele czy pan kupiec pożyczyc pieniędzy? — spytało, zbliżywszy się do kapitalisty, figlarne dziewczę.

— O jej! niechno tylko będzie kawaler... O jej! dam!

— A na duży procent? — indagowała dziewczyna.

— Na mały panienko, na mały, na 10 procent, niech tylko będzie. Zresztą co tu gadać o procentcie? Na taki dobry interes, jak wydanie w tych czasach panny za mąż, to można najgrubszy procent dać, jeszcze się opłaci. Na sumienie!...

Trzpiot Baśka rozpoznała wszędzie o grafologii bydłatkowskiego kapitalisty i odtąd w całej okolicy nazywano go Judką Grafologiem.

STOPA PROCENTOWA.

Był to dzień targowy.

W restauracyi małego miasteczka siedziało za stołem kilka osób.

Aczkolwiek nomenklatury krajowych grodów jestem świadom, nie wymienię jednakże, czy się to działo w Mławie, Jędrzejowie, Skaryszewie, Płocku czy Garwolinie, aby nie robić reklamy traktyerni, która zaszczerpia swym gościom laseczniki kataru żołądka i przysparza pacjentów lekarzom.

Z innych znów przyczyn nie przedstawię ci czytelniku z nazwiska swych współzawodników... Ograniczam się tylko na wymienieniu imion chrześtnych... Oto pan Jan z Bezdładowa, pan Józef z Wydmuchów, pan Karol z Sapów, pan Hilary z Obolniewa, no i ja! Wszyscyśmy przybyli do miasteczka dla załatwienia interesów.

Załatwieniem interesu nazywa się dostanie pieniędzy. Ponieważ przyjechaliśmy dla załatwienia interesu, nie potrzebuję przeto dodawać, że niedaleko naszych stolików stała partya obywateli, specjalnie trudniących się handlem. Gwarzyliśmy o tem i o owem, obsaczeni dokoła szeregiem charakterystycznych postaci. Ciągłe słyhać było pytania poważnej natury.

A po czemu pszenica, Ieku?
 A cobys dał za groch, panie Wajtraub?
 Może Abram kupiłby wagon owsa?

Wtedy charakterystyczne postacie zbliżyły się do pytającego i rozpoczął się dyalog, przechodzący stopniowo w pianissimo... w szept, a kończący się najczęściej dosadnym wykrzyknikiem: „zjadłeś sto par dyabłów z taką ceną!”

Rozmowa urywała się, ariergarda wracała na dawne stanowisko, a biesiadnicy, udając obojętność, rozpoczynali de noviter porzuconą przed chwilą dla interesu dyskusję.

— Jakże tam u ciebie sypie? sąsiedzie—zapytuje pan Jan.

— Nietęgo! nietęgo! trzy ćwierci... a pszeniczka była jak las! kłosa tyle...—pokazując na palcu, odpowiada pan Józef.

— I u mnie nie lepiej!—pomrukuje Hilary.

— Żebym się chociaż nie zawiódł na cenie! ale któż tam wiedział, że tak raptem skoczy? — dodaje sentymentalnie pan Józef.

— A choćbyś sąsiad i wiedział, to co?—podchwytuje Hilary. — To co? Nadejdzie nowy rok, wydatków tysiące, a pieniędzy nie ma. Rać nierad idziesz do żyda i choćbyś wiedział, że sto na sto stracisz... sprzedać musisz! Ja sam zmarnowałem sto par po dziesięć rubli.

— No! żebym naprzód wiedział... tobym już wolał pożyczyć—odpiera pan Józef.

— Gdzie? od kogo? Na pięć na miesiąc—kontruje Hilary—kłaniam uniżenie.

— Dostałbym może taniej...

— Chyba w Towarzystwie.

— A *propos* Towarzystwa—wtrąca pan Jan—mają nam przecież konwersyę zrobić? Mówił mi niedawno jeden radca, że są na najlepszej drodze...

— Już to chyba nigdzie na świecie nie płacą ludzie takich procentów, jak u nas. To też się kapitaliści szybko dorabiają.

— Nie zawsze! nie zawsze!—przerywa Hilary, choć Jojna potakująco skinął głową.— Ja sam biorąc duży procent, straciłem duży kapitał...

— A to się sąsiad w wekselki bawił?—zapytuje ze śmiechem Józef—ot to ładnie! jakże to było?

— W wekselki jak w wekselki, to całkiem co innego! żebym wiedział, że was nie znudzę...

— Słuchamy! słuchamy—zawołaliśmy chórem na Hilarego—niechże i żydkowie posłuchają, jakie skutki są z wielkiego procentu — dodał z powagą pan Jan, którego się zawsze koncepty trzymały...

Ariergarda na to słowo „procent“ nadstawiła uszu, Hilary odetchnął i zaczął mniej więcej w ten sens:

— Po ukończeniu szkoły rolniczej i odbyciu praktyki, ojciec wziął mi małą, ale w dobrej ziemi dzierzawę pod Kaliszem. W sąsiedztwie siedział na dużej, donacyjnej wiosce mój przyszły wówczas, a dziś ś. p. teść.

Choć dziedzictwa nie posiadał, uchodził jednakże za człowieka bogatego, gospodarował dobrze, kredyt u żydów miał nieograniczony, co, jak wiecie, jest najlepszym dowodem zamożności, a że z gościnności słynął i dom prowadził otwarty, bo córki

były dorosłe, niebawem i ja znalazłem się pod gościnną jego strzechą.

Nie będę wam opowiadał, jak stroilem koperczaki do mojej Baški, jak się ożeniłem... czego do tej pory nie żałuję, powiem tylko, że przed samym ślubem woła mię teść i mówi: — Wiem, żeś chłopak dobry, masz mały kawałek ziemi, dopóki was będzie dwoje, to wam wystarczy. Ja pieniądze mam w ruchu, ale będę ci płacił procent od posagu, tysiąc rubli co rok... powinienes coś z tego odłożyć!...

W ariergardzie dały się słyszeć szepty: a schönes geld! cen kindert kierhel. Hilary ciągnął dalej:—Pocałowałem teścia w ramię i z najlepszą miną poszedłem do ołtarza. Na weselisku bawiliśmy się doskonale, do trzeciego dnia! Pobłogosławiony na odjezdnem przez teścia, żegnany przez sąsiadów i znajomych, zabrałem żonę i wyprawkę i znaleźliśmy się na swoich śmieciach. Rok upłynął. Familja się powiększyła. Teść regularnie co kwartał przyjeżdżał, pieścił wnuka, oglądał gospodarstwo, to i owo pochwalił, lub zganił, procent wyliczył i odjeżdżał do domu.

Zaraz jakoś w drugim roku po ożenieniu się mojem, zmarła ciotka moja i matka chrestna zarazem, zapisawszy mi kilkanaście tysięcy marek. Miałem już swoich kilka tysięcy, a że i amator na dzierżawę się trafił, dając dobre odstępnę... zachciało mi się własnego gospodarstwa. Teść nie oponował... Zacząłem szukać... i nastęrczono mi obecne moje dziedzictwo. Pojechaliśmy z teściem na oględziny, no i... kupiłem.

— No — myślę sobie — teraz teść coś dolożyć musi. Na szczęście, a raczej na nieszczęście moje, na majątku było kilkanaście tysięcy nieletnich na 6%... a wymagalnych za lat dziesięć.

Tu pan Hilary popił piwa, a między tylnem audytoryum dały się słyszeć głosy: „sechs procent! e feines geszeft!“

— Na lat dziesięć—mówił dalej, odsapnąwszy Hilary.—W hypotece, gdyśmy do zrobienia aktu pojechali, powiada teść: — Wiesz, Hilarku, to się paradnie składa! Akurat płaciłbyś tysiąc rubli nieletnim. Wiesz co? ja to wezmę na siebie, a ty będziesz miał majątek jakby czysty! Jesteście młodzi, pracowici, ziemia dobra, powinienes co rok coś odłożyć!...

Wówczas nie domyślałem się jeszcze, po co mi teść tak przy każdej sposobności radzi... odkładać!

Osiadłem na nowem gospodarstwie i szło mi niezgorzej. Teść procenta nieletnich wypłacał, gdy nagle otrzymujemy telegram, że teść umarł!.. Żona w lament! ja także. Pojechaliśmy oddać ostatnią przysługę. Po pogrzebie, rejent z powiatowego miasta, a serdeczny przyjaciel teścia, gdy cała rodzina się zgromadziła, odczytał złożoną na jego ręce ostatnią wolę nieboszczyka.

Mogę ją wam dosłownie odczytać, gdyż na wieczną rzeczy pamiątkę dokument ten noszę przy sobie.

Tu Hilary wydobył z pugilaresu poźółkły papier, a, rozłożywszy go przed sobą na stole, czytał

Kochane dzieci! Należycie do równego działu, gdyż każde z was trojga jednakowo kochałem. Cały pozostający po mnie majątek ma iść na trzy głowy: Sobieć, wdowę po ś. p. synu moim Henryku, na ciebie synu mój, Janie i Basię, siostrę twoją, wydaną za Hilarego. Żadnemu z was z uszczerbkiem drugich ciepłą ręką nie dałem, płaciłem tylko, uważając, jako człowiek sumienny, was, dzieci moje, niejako za swych wierzycieli, procent najregularniej! Każde z was to poświadczy. Nie chcąc was krzywdzić, płaciłem procent według skali, przyjętej w kraju, jak i innym wierzycielom. Dziś, po mojej śmierci, każde część swą odbierze i sądzę, że mi przyzna, iż procent, jaki płaciłem, był wystarczający. Tysiąc rubli od kapitału 5,000 to wypada 20% rocznie, ale to u nas przyjęte...

Więcej już wam czytać nie będę — ciągnął dalej, chowając papiery Hilary.—Gorąco mi się zrobiło! Więc 20%! a ja sądziłem, byłem pewny, że najwyżej 5%! Liczyłem kapitał 20,000! Masz tobie! a suma nieletnich! Zkąd ja to wezmę! Nie było rady! Rzeczywiście teść mój zostawił na czysto tylko 15 tysięcy, na trzy głowy! I tak, moi kochani, dzięki wysokiemu procentowi, tej przyjętej w kraju stopie procentowej, mam obecnie kilkanaście tysięcy rubli długu na majątku i lichu wie, czy się kiedy wyrobię?..

Spojrzałem na ariergardę, słuchającą w niemem skupieniu spowiadania Hilarego. Na twarzach żydków malowało się jakby rozczarowanie, spowodowane niespodzianem zakończeniem historii, szczególnie rudy Jojne zdawał się być głęboko przejęty...

Złota myśl błyskawicą przebiegła mi przez głowę! A nuż go to wzruszyło?—pomyślałem.

Dyalog rozpoczął się od 5%, a skończył na 3% na miesiąc. Od tej cyfry rudy Jojna, mimo smutnego przykładu, nie odstąpić nie chciał. Nieprawny!

„INFORMATOR SPADKOWY”.

Swojska á la Mark Twain, humoreska.

Ostatni telegram własny zabrał chłopak i cały materiał na najbliższy numer „Promienia Światła” znajdował się już w drukarni, gdy główny redaktor-wydawca, uchyliwszy drzwi od gabinetu, poprosił nas do siebie.

Miał minę bardzo zafrasowaną. Prawą rękę trzymał w prawej kieszeni spodni, co u niego zawsze oznaczało zły humor.

— Panowie! — rzekł na wstępie — jako ze starymi współpracownikami „Promienia”, pragnę się nad ważną sprawą poradzić, a zarazem — dodał smutnie — i niewesołą wiadomością podzielić. Siedzajcie!

Obsiedliśmy dokoła stół, pokryty zielonym sukniem. Obaj panowie od „polityki” usadowili się najbliżej redaktora, dalej krytyk teatralny, obok niego sprawozdawca muzyczny, mający po prawej ręce referenta ekonomicznego. Dział literacki, kronika i „Wiadomości ze świata”, w osobach trzech moich kolegów, i ja, piastujący godność generalnego reportera od nadzwyczajajnych wypadków, jak: pożary, przejechania, nagła śmierć, tajemnicze mor-

derstwa, niedoszło samobójstwa i t. d., zamykaliśmy wieniec redakcyjny.

Milczenie przerwał wydawca.

— Panowie! — rzekł, obrzuciwszy nas wejrzeniem. — Panowie! Niemiałą nowiną, jakiej wam udzielić pragnę, jest to, że straciliśmy w ostatnim kwartale 32,624 prenumeratorów! Jeżeli tak dalej pójdzie, będę zmuszony z Nowym Rokiem obciąć wam honorarjum i w miejsce 50 kop. płacić tylko 35 kop. za wiersze, aby niedobory budżetu wyrównać. Uczynię to z wielką przykrością. Przypuszczam jednak, że nawet taka „oszczędność” nie zaradzi złemu radykalnie. Prenumeratorzy mogą w dalszym ciągu odpadać i z czasem „Promień Światła”, wybijający dzisiaj 425,837 egzemplarzy, może zmniejszyć swój nakład do połowy.

Spojrzeliliśmy wylękli. W źrenicach szefa błyszczały łzy, duże, czyste jak kryształ łzy.

— Przyczyny tego smutnego stanu rzeczy — mówił w dalszym ciągu, zapanowawszy nad wzruszeniem — wykazywać wam nie widzę potrzeby. Winni wszyscy, a jądro zła tkwi w „Promieniu wiedzy”, który, trawestując i naśladując nasze pomysły, odebrał nam w ten sposób całą warstwę głupich czytelników. Panowie! interes jest obopólny. Zarówno jak i wy związani jesteśmy z bytem piśma. Radźmy przeto, co czynić. Zbliża się chwila ważna, moment psychologiczny prospektu noworocznego, trzeba stanowczo „coś” takiego wymyślić, coby naszego konkurenta na głowę pobiło!

W chwili, gdy wydawca kończył piorunującą przemowę, usłyszałem dzwonek telefoniczny.

Podbiegłem do aparatu. Jakiś jegomość zapytywał, czy może kupić 200 numer „Promienia światła“, w którym to numerze pomieszczoną była wiadomość o milionowym spadku na rodzinę Iksińskich.

Odpowiedziawszy: „i owszem“ wróciłem na miejsce.

Dysputa już się rozpoczęła.

Obaj panowie od „polityki“ radzili przede wszystkim powiększyć format pisma. Zwłaszcza dział „przeglądów politycznych“ i „sytuacji europejskiej“, zdaniem obu wnioskodawców domagał się gwałtownego rozszerzenia.

Zaoponował przeciw temu najdobitniej sam wydawca-redaktor.

— Przed rokiem—rzekł—powiększyliśmy format do takich rozmiarów, że dajemy w tekście 5834 wiersze. Jesteśmy przeto najobszerniejszym dziennikiem. Czyż czytelnicy poznali się na tem? czy sprawdzili z ołówkiem w rękę cały ogrom naszego organu? Czy porównali z tym świstkiem, „Promieniem wiedzy“? I *tamci* w odezwie od redakcyi rozgłosili o zwiększeniu formatu, im uwierzono na słowo. To zły pomysł, panowie! Powiększyć nasz organ do rozmiarów prześcieradła, a i *oni* uczynią, lub dać przyobiecają toż samo.

— A gdyby tak jakie premium bezpłatne? — wtrącił nieśmiało recenzent muzyczny.—Jakie zbiorowe wydanie arcydzieł muzyki, lub gratisowy koncert kameralny dla całorocznych prenumeratorów?

Zżymnął się redaktor.

— Co to pomoże, kochany panie, co to pomoże! Przejrzyj-no kochany pan spis premiów, udzielanych prenumeratorom naszym.

Wziął ze stołu zeszlóroczny prospekt i czytał:

„Prenumeratorowie miejscowi: abonament roczny w łaźni rzymskiej... „Korneliusza“ w oryginale łacińskim, najwyborniejszy, prawdziwy angielski za-trzask bezpieczeństwa, po dwa funty pasty do zaprawienia podłóg“...

— A prócz tego:

„Za wrzuceniem metalowego krążka ze stemplem redakcyi, mogą się ważyć na wagach elektrycznych, rozstawionych w miejscach publicznych... Zamiejscowi: „Podręcznik dla gry w winta“ (do wyboru), dwadzieścia pięć sztuk cygar hawańskich, lub dziesięć pudełek najlepszego pudru z puszką, puszczało do krwi dla bydła, portret (drzeworyt) Izabeli Hiszpańskiej“...

Reszty nie dosłyszałem, gdyż nowy dzwonek telefoniczny sygnalizował.

Interesant zapytywał o szczegóły, dotyczące spadku po kupieckiej rodzinie Ypsilonów, wymarłej bezpotomnie w Richmond Victoria. Poprosiłem go, aby się jutro w rannych godzinach pofatygował do redakcyi.

Gdym wrócił, kwestya premiów była już większością głosów odrzuconą, a przemawiał „dział literacki“ za urozmaiceniem odcinka i zwiększaniem liczby „dodatków powieściowych“.

— Kobiety to lubią—kończył argumentację. Już z ruchów wydawcy widocznem było, że

nie podziela usłyszanych poglądów. Jakoż z nietajonym sarkazmem rzekł po chwili:

— Dziwię się, że właśnie pan z podobnym projektem występuje. Panu chyba najlepiej nasz odcinek znany być powinien. Dajemy obecnie codziennie 800 wierszy powieści oryginalnej, pięć dodatków tygodniowo najcelniejszych utworów europejskich. No i co, pytam? My dajemy, dają i *oni*. Zachwalałeś pan powieści historyczne... kupiłem na wagę złota „Łyżwy królowej Kleopatry“. Tymczasem równocześnie tenże sam autor sprzedał temu szpargałowi „Promieniowi wiedzy“ także romans historyczny, w dodatku z tejże samej epoki, „Szelki Cezara“. Przetłómaczono dla nas sensacyjną podróż angielskiego majtka, p. t. „Na grzbiecie wieloryba“... nasi antagoniści zaczęli natychmiast słynną fantayę: „W paszczy rekina“! To są wszystko półśrodki, drogi panie, a nam potrzeba środka! środka! całego środka!

Referent ekonomiczny, potakujący początkowo przemówieniu „działu literackiego“, wobec takiego *dictum* redaktora, uczynił teraz ruch pogardliwy i rozpoczął krytykę poglądów poprzednika.

Mnie tymczasem donośny głos dzwonnka wezwał znowu do aparatu. (Jako najmłodszy i najbliższy drzwi siedzący, musiałem za wszystkich sprawy telefoniczne załatwiać).

Tym razem czterech jakichś członków rodziny zapytywało o datę śmierci ś. p. Zygiferty Zetkiewicz, o spadku po której zrobiliśmy sympatyczną wzmiankę w numerze 137 „Promienia światła“.

Wyszukałem odnośny numer pisma i żadanego objaśnienia udzieliłem. Pomimo pośpiechu, zajęło mi to kilka minut. Gdym się na pierwotnem stanowisku znalazł, przemawiał właśnie milczący dotychczas „kronikarz“.

— Ja widzę jedyną drogę wyjścia — prawili stentorowym głosem — w ulepszeniu nie treści, (to się psu na budę nie zdało), lecz strony technicznej. Tak. Cobyście też na to powiedzieli, gdyby w przyszłości drukować „Promień światła“ kolorami? W tytule mogłyby się znaleźć wszystkie barwy tęczy; politykę radziłbym drukować żółtą; felieton powieściowy (*ex re* niebieskich migdałów i niebieskich ocząt czytelniczek) błękitną; działowi ekonomicznemu odpowiadałby najlepiej kolor zielony, będący jak wiadomo symbolem nadziei. Tym sposobem zastosowalibyśmy w dzienniku metodę poglądową... symbolizm... Byłaby to mojem zdaniem — kończył mówca — nowość, nietylko u nas, lecz i zagranicą dotychczas nieznaną.

Wydawca słuchał z uwagą i tak rzekł wreszcie, zwracając się do kronikarza:

— Projekt pański... oryginalny... przynajmniej, przypadł mi do gustu. Wartoby nad nim podyskutować. Kto z panów zechce zabrać głos.

Kronikarz spojrział tryumfująco.

Z zaproszenia do dyskusji skorzystał najpierw kolega „Wiadomości ze świata“ i w przydługiej mowie gorąco poparł „kolorowy“ projekt kronikarza; następnie „dział ekonomiczny“ wygłosił niemniej swoje „pro“; trochę z przekazem, ale zawsze życzliwie wyraził się recenzent muzyczny; reszty zaś

głosów nie słyszałem, będąc zmuszonym w tym czasie osiem razy oddalać się do telefonu.

Rzecz dziwna! wszyscy pytający, za wyjątkiem jednego (ten pytał o tabelę loteryjną), informowali się wyłącznie o spadki w łamach naszego organu ogłaszane. To dało mi wiele do myślenia. Jak jutrzeńka zaświtał w mej głowie projekt nowy, projekt śmiały.

Tymczasem wniosek kolegi kronikarza został w konkluzji większością głosów przyjęty. Mnie jedynie przez grzeczność spytano o zdanie. Nie wypadło mi *post festum* oponować, więc w krótkości pochwaliłem pomysł kolegi—ale...

Ale musiałem mieć przy tem dyabło głupią minę, skoro redaktor, przyjrawszy mi się badawczo, spytał:

— A może pan obmyśliłeś co innego? Słuchamy.

Zarumieniłem się, jak panienka przy pierwszym wyznaniu miłości, słowa uwięzły mi w gardle.

Ta skromność podobała się redaktorowi. Wydobywszy prawą rękę z prawej kieszeni spodni, co było u niego oznaką zadowolenia, z ojcowskim gestem przystąpił do mnie i tonem zachęty rzekł:

— Mów młodzieńcze śmiało, posłuchamy chętnie. Lata w tym wypadku nie stanowią.

Zachęta dodała mi odwagi, więc, spojrzawszy na obu „polityków”, referenta działu literackiego, recenzentów, a głównie kronikarza, zacząłem mniej więcej w te słowa:

— Podczas gdy szanowne grono panów radziło nad uratowaniem skolatanej nawy naszego

czcigodnego organu, mnie losy usadowiły w pobliżu drzwi. Tej to wyjątkowo korzystnej pozycji geograficznej zawdzięczam pomysł, jaki mi podczas ośmiokrotnego sygnalizowania telefonu przyszedł do głowy.

— Ma styl, ma styl! — zauważył nawiasowo dział literacki.

— Nie przerywać, nie przerywać — zawołano chórem.

— Mów pan dalej! — rzekł niecierpliwie redaktor.

Odechrząknąłem i po chwilowej pauzie zacząłem znowu:

— Wszyscy interesanci, których miałem zaszczyt obsłużyć przez telefon, zapytywali o jedno... Mianowicie o „sprawy spadkowe”, o których w swoim czasie donosił nasz „Promień światła”. Wszyscy powtarzam...

— To cóż z tego? — wtrącił pogardliwie kronikarz.

Surowy wzrok redaktora skarcił go dostatecznie za ten niekoleżeński wybryk. Ja zaś mówiłem dalej:

— W prostocie ducha przyszedłem ztąd do wniosku, że „sprawy spadkowe”, wiadomości o sukcesyach, są najpoczytniejszą rubryką naszego organu, najwięcej pożądaną, najwięcej wbijającą się w pamięć ogółu, naj...

— Konkluzya! konkluzya! — przerwał mi zaciekawiony redaktor.

— Ostatecznie więc uważałbym za rzecz nad wyraz pożyteczną — kończyłem — gdyby można ten

dział rozszerzyć, rozwinąć, wyspecjalizować, a bodaj stworzyć *ad hoc* nadzwyczajny, bezpłatny, tygodniowy...

— Dodatek! — wykrzyknął uradowany wydawca.

— Myśl pyszna! Panowie! Stworzymy specjalny dodatek spadkowy. Tylko tytuł... tytuł... to grunt! *Passe-partout* do wszystkich ogródków za dobry tytuł!

— Mam! mam! — zawołał teraz I-szy polityk — „Skorowidz spadkowy“!

— Staroświecczyzna! — zaproponował polityk II-gi.

— Brzmi *nieceufonicznie* — zauważył recenzent muzyczny.

— „Przegląd sukcesyjny“ — zaproponował krytyk teatralny.

— Fe! tylko choroby bywają sukcesyjne — zakpił „dział literacki“.

— To może... „Informator spadkowy“ — ośmieliłem się wtrącić.

Skrzywił się znacząco antagonistą - kronikarz, ale w tej chwili porwał się z siedzenia główny redaktor i biegł do mnie z wyciągniętymi rękami i wołał:

— Dobroczyńco! królu! Przepowiadałem ci świetną przyszłość w dziennikarstwie. Umysł inwencyjny! Młodzieńcze, tobie będziemy zawdzięczali, że w kolebce urwiemy łeb tej... bibule... „Promieniowi wiedzy“.

Ścisnął mnie i całował. Więc teraz i inni zaczęli wołać:

— Brawo! brawo!

— Znakomicie! — wołał, trzepocząc rękami, polityk I-szy.

— Tytuł wiele mówiący i muzyczny — wtórował recenzent muzyczny.

— A „dział literacki“ zadeklamował:

„W kolebce kto łeb urwał hydrze“...

Zrodził się entuzjazm nie do opisania. Mnie zaś oblał gorący rumieniec; stałem ze spuszczoneym wzrokiem, szepejąc:

— Niezasłużony... Najpiękniejsza chwila mojego życia... Nigdy jej nie zapomnę!

Gdy pierwsze wrażenie przebrzmiało, wzięliśmy się *viribus unitis* do zredagowania odpowiedniej zapowiedzi „Od redakcyi“.

Sam redaktor *trzymał pióro*.

Redakcyja „zapowiedzi“ zajęła dość dużo czasu. Wreszcie, po licznych poprawkach i uzupełnieniach *wygotowaliśmy* odezwę, która, po wyjściu z tłoczni drukarskiej brzmiała i przedstawiała się ściśle jak następuje:

„*Wobec przesilenia rolniczego i zastojów ekonomicznego!*

„Dbali o dobro swych czytelników, powodowani przytem myślą obywatelską przyjscia z najskuteczniejszą pomocą naszym prenumeratorom, uwzględniając zarazem ciężar położenia materialnego ogółu, prócz nader licznych ulepszeń w samym organie, co stało się już naszą dewizą wydawniczą,

dawać będziemy *zupełnie bezpłatnie* tygodniowo wszystkim naszym abonentom

Dodatek specjalny

p. t.

„Informator spadkowy”.

„Treść każdego dodatku, redagowanego przez zjednanych przez redakcję „Promienia światła” specjalistów, wydawanego z niemałym nakładem pracy, z olbrzymim zasobem wiedzy genealogiczno-heraldyczno-prawniczej, wypełniać będą przede wszystkim i głównie wszelkie wiadomości o wakujących w kraju lub zagranicą spadkach, o spadłych sukcesjach, ich rozmiarze, wysokości, z szczególnem uwzględnieniem spadków *amerykańskich*. Prócz tego znajdzie interesowany czytelnik w „Informatorze spadkowym” obszerny nekrolog spadkodawcy, ciepłem skreślony piórem, z wyszczególnieniem odnośnych dat, wieku, imion, a nadto przy spadkach co najmniej z czterema zerami, pomieszczać będziemy:

„*Podobizny i wizerunki* zmarłych spadkodawców odbite w *własnej elektrotypii*

„*Dreifarbendruckiem*”.

„W ten sposób spadkobiercy, już w rysach familijnych, podobieństwie rodziannem, znajdą jeden więcej upragniony dowód dla swych legalnych, daj Boże dobrym skutkiem, uwieńczonych, starań!”

„W nadziei, że „zapowiedź” nasza odpowiada zupełnie wymaganiom chwili, ufni, że „Informator spadkowy” odda rzetelne usługi społeczeństwu—nie-

powodzeniem finansowem skołatanemu, przekonani o gwałtownej potrzebie, takiego (że tak powiemy) „Podręcznika”, który będzie zarazem materiałem historyczno-genealogicznym naszych rodzin, utwierdzeni głęboko, że w ten sposób zadzierzgniemy nowy, silny, nierozzerwalny węzeł, między spadkodawcami a spadkobiercami, powtarzamy:

„*Informator spadkowy*” będzie doręczony *wszystkim* prenumeratom *bezpłatnie!*

„Oby nasze usiłowania trafiły do sere czytelników!...

Redakcyja”.

„Uwaga. Redakcyja udzielać będzie również na żądanie wyczerpujących odpowiedzi listownych, za nadesłaniem pocztowego porta, nadto uproszony przez grono redakcyjny specjalista będzie codziennie, między 2—3, w biurze „Promienia światła” na usługi Szanownej Publiczności”.

Tym specjalistą byłem ja, na którego barki włożono cały ciężar redagowania „Informatora”, ja to również uosabiałem ogłoszonych w prospekcie mężów zasobnych w heraldyczno-genealogiczno-prawniczą wiedzę.

Krzywił się wprawdzie na to krytyk teatralny, mając niejaką pretensję do redagowania, ex-re podsunięcia myśli, aby w „Informatorze” pomieszczać podobizny elektrotypiczne, ale redaktor—wydawca rozwiął marzenia konkurenta, mówiąc stanowczo:

— Skoro Kolumb odkrył Amerykę—niechże nią rządzi.

Poczem oficjalnie zamianował mnie „referentem spadkowym”, z podwyżką dotychczasowej pen-

syi o 242 ruble miesięcznie. Nadto udzielił cennych wskazówek i rad, dotyczących przeróżnych źródeł, z których mogłem zaczerpnąć pożądanego materiału, resztę zaś pozostawiał mej obrotności i sprytowi.

— Pan już jesteś kawalek „Figarzysty“ — chwalił mię, zachęcając — jeżeli się tylko nie zaniebasz i będziesz w dalszym ciągu rozwijał wrodzone zdolności, wróżę panu świetną przyszłość w dziennikarstwie. Nam właśnie takich ludzi potrzeba!

Wobec tak pochlebnego uznania rozwinąłem gorączkową działalność. Zawiązałem stosunki z notaryuszami, z wydziałem hipotecznym, z sekretarzami konsulatów, z zakładami pogrzebowymi, słowem, nie pominąłem żadnego źródła, aby tylko pozyskać informacje szybkie i pewne.

Jakoż rezultat przeszedł oczekiwanie. Pierwszy numer „Informatora“ przedstawiał się okazałe. Ujawnione spadki wynosiły *summa summarum* dwa miliony ósmkroć sto tysięcy dwieście ośm rubli, cztery *dreifarbendruckowe* podobizny bogatych nieboszczyków, (był między nimi jeden milioner w ramach), zdobiły pierwszoklasowy mego pomysłu.

Rzecz prosta, że i cel główny został osiągnięty. „Promień światła“ zyskał z górą piętnaście tysięcy prenumeratorów, a sprzedaż uliczna „Informatora“ dosięgła niebywalej ilości egzemplarzy. Czytały wszystkie sfery, od suteren do piątego piętra i facyatek.

Tryumfowałem, a redaktor - wydawca mówił mi odtąd:

— Moje serce!

Pierwszy kwartał przeszedł szczęśliwie. „Ci“ z „Wiedzy“ pękali ze złości.

Nie mogę jednak twierdzić, aby redagowanie „Informatora“ było łatwym. Trafiły się również drobne przykrości: reklamacye, zaprzeczenia. Nadto korespondencye z interesowanymi, a zwłaszcza ustne objaśnienia, zajmowały mi wiele czasu. Główną jednak trudność stanowiło dostanie w porę podobizn zmarłych bogaczy. Radziłem sobie jednak jakoś, a że właśnie zbankrutował jeden z fotografów, namówiłem redaktora do nabycia na licytacji po nim klisz fotograficznych i starych dagerotypów, w nadziei, że się czasem między nimi i portret jakiego spadkodawcy znaleźć może.

Na materyale faktycznym nie czułem jednak braku.

Ale już w drugim kwartale zrobiło się krucho. „Źródła“ wyczerpywały się, wiadomości nadpływały skąpo, a „grubszych“ sukcesyi nie było całkiem.

Z każdym dniem stan pogarszał się jeszcze. Doszło do tego, że zecerzy do ostatniej chwili musieli czekać na materiał, a częstokroć składać na *interlinie* „tłustszym“ drukiem, aby tylko szpalty zapełnić.

Upozorowałem to w nowej odezwie „od redakcyi“ dbałością o wzrok Szanownych Czytelników, który przez *techniczne* ulepszenie pisma mniej odtąd na wyteżenie narażonym będzie..

Ale koniec końcem było źle!

Ostatecznie, zaproponowałem redaktorowi-wydawcy, aby „Informator“, zamiast dwa razy tygodniowo, wychodził raz jeden. Ani słuchać nie chciał.

— Niepodobna! — powiadł na mnie z góry, zwłaszcza teraz przed końcem kwartału, gdy ci idyoci... z „Wiedzy“ zapowiadają wprowadzenie nowej rubryki: „Małżeństwa mieszane“. Nigdy! rób pan co chcesz. Musimy wychodzić i to w zwiększonym formacie.

— Brak materiału... spotęgowany upadek materyalny na „przednówku“, przyczyniają się do zaniku sukcesyi—wtrąciłem lękliwie.

— Tem więcej starać się powinniśmy. Właśnie „upadek materyalny“—wygłosił z naciskiem—to woda na nasz młyn! — Rozumiesz pan!? Im większa bieda, tem pożądańsza każdemu gratka! spadeček! sukcesyjka!

— Kompletny brak materiału, panie redaktorze!—powtórzyłem jeszcze lękliwiej.

Zachnął się.

— Moje serce! Od czegoż jesteś dziennikarzem! Fe, wstydź się pan mówić takie rzeczy. Drobnostka! Czapkowskiego z pewnością nie bolałaby o to głowa. Trzeba sobie *radzić*.

Wzmianka o Czapkowskim, mym antagoniście, nadto nacisk, z jakim redaktor, wydawca wymówił zdanie: „trzeba sobie radzić“, położyły kres wahania.

— Więc można?—spytałem już śmieiej.

— A to dobre! Jeszcze większa sensacya! Ale zawsze ostrożnie. Dobierać nazwiska albo zupełnie popularne, jak: Malinowski, Müller, Dąbrowski, Szulc, lub jakie wyszukane, z pierwszej lepszej powieści. Uśmiercać, panie, w miejscowościach odległych, pozbawionych szybkiej komunikacyi. Za-

chować jakie takie pozory prawdopodobieństwa, a utrzymamy się na stanowisku. Zwłaszcza Ameryka, moje serce, A... me... ry... ka!—dokończył.

Zrozumiałem.

I znowu „Informator“ ożywił się bardzo. Fabrykowałem zmarłych na potęgę, spadki sypały się jak z rogu obfitości. Nazwisk przeróżnych dostarczał mi spis alfabetyczny rodzin, szyldy kupieckie; kazałem również umierać bohaterom i bohaterkom powieściowym, kułem przytem zupełnie nowe, dobierając pierwiastków najmniej prawdopodobnych, dla uniknięcia jakichkolwiek kolizyi. Podobizn miałem na zawołanie poddostatkiem. Nabyte po fotografie — bankrucie klisze i dagerotypy były pod tym względem nieprzebraną kopalnią. I *radziłem* sobie czas jakiś. „Informator“ wychodził regularnie.

Lecz od tej chwili, pomimo nieustannej ostrożności, baczego dobierania cudaczných nazw, pomimo, iż fabrykowani spadkobiercy „zasypiali snem wiecznym“, prawie zawsze w stronach odległych, odciętych od świata, coraz częściej przytrafiały się „dzikie“ pretensye wprowadzonych w błąd czytelników, reklamacyi było bez liku, a często gęsto traafiały się również interwencye osobiste, nader dla mnie przykre.

Co najdziwniejsza, że fakta, najstaranniej zmyślone, bywały nie rzadkim do podobnych wystąpień powodem.

Raz, po wyjściu doborowo skłamanego numeru, wpada do mego gabinetu zakwefiona dama w grubej żalobie.

— Jestem Serafina z Mamutowiczów Powidełkowska—rzecze, dygając od proga.

— Bardzo mi przyjemnie. Czem mogę służyć?

— Ja do pana redaktora z pretensją...

Oblicze moje wyraziło zdziwienie i ubolewanie, a pani Serafina, wyjmując z podręcznej torebki ostatni numer „Informatora”, mówiła dalej:

— Ot właśnie wyczytałam bolesną wiadomość o zgonie ś. p. Izydora Mamutowicza, zamieszkałego na wyspach Karolińskich. To mój właśnie brat stryjeczny.

Zażkała.

— A panowie—skarżyła się dalej—piszecie, że w braku bliższej rodziny, cały majątek przechodzi na dalekich krewnych Telefonowskich i Gudronitowiczów. Ja Gudronitowiczów znam, to żadni krewni kochanego Izydora. A ja siostra, bawiliśmy się razem, dziećmi będąc. O panie, czy się to godzi?

Musiałem ją uspakajać, choć wpisując w poczet zmarłych Izydora Mamutowicza, byłem przekonany, że taki osobnik nigdy światła dziennego nie oglądał.

Udobruchałem wreszcie babinę zapewnieniem, że w najbliższym numerze pomieścimy odpowiednie „sprostowanie” i, życząc jej jaknajrychlejszej windykacji spadku, przyrzekłem sobie w duchu nie pisać już więcej o „braku bliższych krewnych”.

Ale złośliwe fatum nie przestało mnie prześladować. W tydzień coś później miałem znowu *afere* z innego zupełnie powodu.

Siedzę sobie w zwykłych godzinach przyjąć w gabinecie. Nagle wbiega niski, otyły jegomość w stroju podróżnym i podtykając mi prawie pod nos zgnieciony egzemplarz „Informatora”, pyta *stante pede* stentorowym głosem:

— To pan wypisuje te... te... bzdurstwa?

— Ja... tego... niby...—bąkam przerażony.

— A to ładnie kpić sobie z porządnych ludzi! Narzązać ich na koszt! Na to trzeba być...

— Z kimże mam przyjemność?—przerywam, cofając się za stół.

— Hubert, Jan... dwóch imion, bo w naszym rodzie zawsze Jan być musi... Apsikowski... tak, Apsikowski.

Skloniłem się, nie wiedząc jeszcze o co idzie.

— Ten sam Apsikowski, który przez was odbył podróż, panie, do Islandyi, po spadek, panie, i przywiózł panie... figę!

Skupiłem pamięć. Nazwisko nie mi nie mówiło.

— Czegóż pan gęby nie otworzysz?—wrzeszczał.—Tak, teraz trusie. Ale pisać o spadku po Benignie z Apsikowskich Wahadło to można? hm!?

— O zgonie Benigny Wahadło pisaliśmy, lecz bez nadmienienia, że była z domu Apsikowska, bo tego szczegółu nie wiedzieliśmy zupełnie. Może to inna?—ośmieliłem się wtrącić.

— Inna! A jakże! Taż sama! Któż może wiedzieć odemnie, syna jej rodzonego brata? taż sama, tylko, że nie umarła w Islandyi, lecz w Kozienicach; nie zostawiła milionów, lecz, panie, domek jak psia buda i czworo dzieci. A ja, panie, tłukłem się przez

morze... namarżłem. O małym karku nie skręcił na lodowcach.

— Pocóż było jeździć, skoro pańska ciotka mieszkała w Kozienicach?

— Ale się włóczyła po świecie, bo była waryatką, panie, i ojciec zerwał z nią stosunki. Liecho wiedziało, gdzie ją tam śmierć zaskoczy.

Krzyczał jeszcze czas jakiś, ale się w końcu ułagodził i nawet po przyjacielsku podał mi rękę na pożegnanie, tylko odgrażał się, że wydawcę o zwrot kosztów podróży zaskarzy.

Nie zrobił jednak tego pan Apsikowski, ale zato ja, opowiedziawszy redaktorowi o zajściu, ponowiłem prośbę o zmniejszenie numerów „Informatora,” skarżąc się na nadmiar pracy i niebezpieczeństwo, na jakie bywam narażony.

Zaknął mi usta wzniosłym aforyzmem: „Dziennikarz, to żołnierz na stanowisku! Wolno mu zginać, tehrzyć nie wolno“.

Ustąpiłem. I rzeczywiście mogę sobie dziś zaśpiewać: „Jam śmierci w oczy zajrzał zbliżka...“

Było to z końcem półrocza. Redaktor-wydawca przypomniał mi o potrzebie *ożywienia* „Informatora“ w tej porze, przyrzekając podwyższyć pensję od pierwszego.

— Trzeba jakiego milionera zgładzić — radził jowialnym tonem.

Jakoż zgładziłem. A że przy takiej „gratee“, stosownie do „zapowiedzi“, należało koniecznie dać podobiznę w własnej elektrotypii odbitą, wybrałem przeto najlepiej zakonserwowaną kliszę ze zbiorów po zbankrutowanym fotografie, kazałem „wytrawić”

i w ten sposób uzupełniłem nekrolog Johna Tomasz Koczobutta, bogatego plantatora trzciny cukrowej, zmarłego w stanie kawalerskim na żółtą febrę.

Oj, miałem ja febrę, choć nie żółtą. Mało brakowało, a byłbym się sam dostał na szpalty „Informatora spadkowego,” tylko że moi sukcesorowie nie mieliby kłopotu z podziałem spadku.

W parę dni po zgonie Koczobutta, który mi się udał świetnie, bo odbitka elektrotypiczna wyszła znakomicie, wszedł do mego dziennikarskiego ustronia wysoki mężczyzna w sile wieku, z wąsem sumiastym od ucha do ucha i, nie mówiąc ani słowa, stanął przedemną oko w oko.

Spojrzałem. Twarz znajoma. Przybyły, milcząc, patrzy na mnie i tylko wąsami groźnie rusza.

— Miałem już gdzieś przyjemność... — zaczęłam.

W tej chwili wąs chwycił mnie za gardło, ścisnął i wrzeszczy:

— A lotrze! lotrze jeden! ja ci dam! To ty moje nazwisko przekręcasz, nieboszczyka ze mnie robisz! Fotografiamy, paneńku, publikujesz! Ja ci dam pochowanie za życia!

I krzyczał tak i okładał mnie, gdzie popadło. Struchlały, nie mogłem przyjść do słowa, to jednak pojąłem, że mniemany portret milionera Koczobutta, był w istocie podobizną żyjącego, silnego osobnika.

Że żył i siłę miał, przekonałem się namacalnie. Tymczasem siłacz nie pardonował.

— Poczobutt, nie Koczobutt! Poczobutt! Żywy, nie umarły, żywy! — wykrzykiwał raz po raz, potężną dłońią stwierdzając prawdę swych słów.

Rozpacz dodała mi odwagi. Zacząłem się bronić. Podczas szamotania się wypalił rewolwer, który zawsze nosiłem w kieszeni. Kula ugodziła mnie w bok.

Więcej nie pamiętam.

Przyszedszy do zdrowia, dowiedziałem się, że „Informator“ wychodzi jeszcze, że go redaguje ten idyota Czapkowski, który, nawiasem mówiąc, o „dramacie w redakcyi“ rozpisal się w „Promieniu światła“ przez kilka numerów. Przychylni donieśli mi również, że „Informator“ teraz źle idzie, bo Czapkowski nie ma w tym kierunku szerszej inwencji.

Jakoż musiała być w tem część prawdy, bo niebawem zgłosił się do mnie redaktor-wydawca z propozycją objęcia nanowo obowiązków.

Odmówilem stanowczo. Nie głupim!

Dziś pracuję w „Promieniu wiedzy“, gdzie już zaprowadziłem nową rubrykę „Panien na wydaniu“, a z Nowym rokiem obejmę kierownictwo nadzwyczajnego dodatku (raz na miesiąc) p. t. „Wskazówki posagowe“.

Ci ze „Świata“ pękają ze złości.

SPRAWOZDANIE NAUKOWE Z POŚLADOWA. =====

Ludność Pośladowa kładła się spać z zachodem słońca, z kurami. Patryarchalny ten zwyczaj mieszkańców sławetnego grodu, troskliwie przestrzegany przez rodziny Pośladowian, z wyjątkiem kilku zepsutych cywilizacją zachodu osobistości, przynosił ogółowi podwójną korzyść: moralną i fizyczną.

Moralną—ponieważ nurtująca gdzieindziej podwaliną społeczną kwestya ograniczenia godzin pracy do umysłów Pośladowian nie miała zupełnie dostępu; fizyczną—gdyż wiadomo, że „wyspanie się“, jako funkcyja fizyologiczna, znakomicie wpływa na stan cielesny jednostek, a *mens sana in corpore sano*...

Była jeszcze i trzecia korzyść, pośrednia, mająca zarówno z moralnem, jak i fizycznym zdrowiem styczność—oszczędność oświetlenia.

Wprawdzie zysk z tej przyczyny nie nosił charakteru „powszechnego dobra“, gdyż oświetleniem publicznem miejskiego terytorium na mocy przedpotopowej koncesyi, udzielonej przez naturę, zajmowało się towarzystwo księżycowe, w każdym jednak razie oszczędność w materiałach światłodajnych przynosiła znakomitą korzyść kieszeniom pojedyn-

czych jednostek, gdyż, według skrupulatnego obliczenia Judki Weichselfischa, Pośladów w sezonie zimowym spotrzebowywał miesięcznie: trzy naftówki kanfyny, dwa kamienie świec łożowych i około dziesięciu funtów świec stearynowych, po pięć sztuk na funt.

Za wierność statystyki pana Weichselfischa sumiennie poręczyć można; stąd prosty wniosek, oparty na wiarogodnych danych, że wydatek na oświetlenie w rozkładzie na parutysięczną ludność Pośladowa wynosił niewiele.

Sprawa to prywatna, jednakże na podniesienie zasługująca. Dodać jeszcze należy, bo prawda przede wszystkim, iż rachunek prawdopodobieństwa kosztów oświetlenia „na głowę“ ulegał faktycznie niejakiemu redukcji, jeśli wziąć pod uwagę, że z tegoż światłodajnego źródła, którego dostawcą i generalnym szafarzem był powyżej wymieniony Judka Weichselfisch, czerpały również instytucje publiczne i zakłady rozweselające, które z konieczności zarywały czasem nocy.

Więc magistrat, który, prócz lamp biurowych, miał łakomego konsumenta nafty w zawieszonej na słupie latarni; więc miejscowa pocztalteryja oświetlana dla dobra służby do godz. 7-ej wieczorem, t. j. do chwili wyprawienia „ostatniego traktu“; więc apteka, szlaban na moście, dzierżawiony przez tegoż Weichselfischa, a nadewszystko restauracya Nepomucena Karczochoy, nienasycona pożeraczka oleju skalnego, bo posiadająca aż trzy lampy o ulepszonych palnikach.

Nieraz też śmietanka pośladowska przy „wengtenie“ lub pogawędce, w której rej wodził, rozpowiadając *de publicis*, właściciel pocztalteryi, pan Wiorstowicz, przesiadywała w zakładzie Karczochoy do późnej nocy, a w przeddzień świąt nawet do świtu.

Rzecz prosta, iż wskutek przydługich posiedzeń, odbywanych nie „poomacku“, konsumpcya nafty była znaczna i Weichselfisch uważał restauratora za najgrubszego odbiorcę. Skarbił sobie też względny Karczochoy, zachodząc niekiedy na posiedzenie do restauracyi, biorąc udział w rozprawach politycznych, grając w domino, jednym słowem, przyczyniając się do ożywienia i przedłużenia zebrań.

Mróż trzymał, zawieszony w oknach apteki termometr wskazywał 5 stopni niżej zera. Słońce gasło. Mrok wieczorny sadowił się już po wąskich uliczkach miasteczka, tylko na rynku walczył jeszcze z nadpływającymi cieniami nocy odbrzask dzienny, ślizgając się po taffach zamarzniętych kaluży.

Wreszcie i nad systemem wodno-błotnym pociemniało; zaróżowiona tarcza słoneczna przejrzała się jeszcze raz w stalowej korbie studni miejskiej, świetlana struga jeszcze raz zamigotała na blaszanym dachu magistratu i słońce zbiegło gdzieś daleko za góry, za lasy, za szlaban, przy którym Judka Weichselfisch robił właśnie dzienny obrachunek z mostowego (po dwie kopiejki od konia).

Pośladów, okryty płachtą ciemności, zabierał się do spoczynku. Zakurzyło się z kominów, z różnych stron dolatywało donośne szczekanie spuszczone z łańcucha psów, rozbrzmiewał ochryply głos

i kołatanie stróża nocnego, pełniącego równocześnie obowiązek woznego magistratu.

Judka Weichselfisch, schowawszy w kieszeń długiego chałata utargowaną z „mostowego” kwotę i przykazawszy pełniącemu *per procura* funkcyę mostowniczego, Lajbusiowi, zamknąć na noc szlaban na kłódkę, ruszył ku domowi. Musiał jeszcze zajrzeć do słupa, a następnie nosił się z zamiarem odwiedzenia pana Karczochy, spodziewając się dziś dość licznego zebrania, z powodu przypadającego w dniu jutrzejszym święta.

Judka Weichselfisch, człowiek otarty w świecie, bywalec, lubił towarzystwo, lubił nawet bezinteresownie.

W ostatnich czasach zasmakował w polityce, zwłaszcza losy Artona zaciekawiały go niezmiernie. Spieszył więc, aby się nie opóźnić, a że dla przyjemności nie zwykł zaniedbywać obowiązku, wstąpił do sklepu, zamknął go na żelazną zasuwę, zjadł przyrządzoną kolacyę, schował w kieszeń na przekąskę przy piwie kawałek chały i tak załatwiwszy się z najpilniejszymi sprawami, ze swobodną myślą zjawil się w restauracyi.

Z wyjątkiem Wierstowicza znalazł już całe towarzystwo przy kufiu.

Jako człowiek dobrze wychowany, rozpoczął od powitania:

— Dobry wieczór państwu...

— Dobry wieczór, Judka! *sznolom alejchem!*— odpowiedział obeznany nieco z hebrajszczyzną prowizor farmacyi, Albin Merkurowicz.

— Dobra mina! Pewnie Weichselfisch nieźle dziś utargował, a i z „mostowego” porządnie kapnąć musiało? Widziałem kilkanaście furmanek na szosie—wtrącił tonem pytania sekretarz magistratu, stary kawaler, nieużyteczliwy, a siedzący na groszu kutwa, Stempelski.

— Pewno! kieszeń wypchana... Możebyś zagrał w wengtena, albo w „oko”—zaproponował pan Izidor Przepędzki, pisarz procentowy z pobliskiej wioski, bawiący czasowo za sprawunkami w Pośladowie.

— Zagrać... ny! po co takie bałamuctwo. Ładne słowo lepsze od gry, zresztą teraz ciężkie czasy na takie zbytki—odparł Judka, zasiadając przy stole.

— Et! narzekasz, a o zakładbym poszedł, żeś z samego mostowego uzgarniał już na posąg dla Małki—przerwał Merkurowicz.

— Wolne żarty pana prowizora! Z czego? z mostowego... Niech moje wrogi mają ten dochód! Trzyma człowiek ze zwyczajem... Trzymał dziadek, trzymał ojciec... trzymam i ja, ale żeby nie sklep... to auf meine munes nie byłoby żyć z czego. Co pan chce! to nie dawne czasy, teraz szlachta czwórka nie jeździ, chłop chodzi piechotą, a nie, to za mostem przystanie paskudnik, żeby nie płacić! skąd ma być dochód?...

Weichselfisch, mijając się nieco z prawdą pod względem wysokości dochodu z mostowego, z drugiej strony miał niejaką racyę, przytaczając reformę w ekwipażach szlacheckich. Również twierdze-

nie, iż wydzierzawiał myto dla wspomnień rodzinnych, nie było pozbawione podstawy.

Rodzina Weichselfischów zżyła się z Pośladowskim mostem; trzy pokolenia siedziały, wychowały się w budce nad rzeką, sam Judka ujrzał tam światło dzienne, nie więc dziwnego, że nadmoście miało dlań pretium affectionis.

Czasem syn szlachecki, dorobiwszy się grosza, odkupuje za duże pieniądze wioskę rodzinną, gniazdo ojczyście, czasem nawet przepłaca... Dlaczegożby Judce nie było wolno mieć tej samej przyjemności przy dzierżawieniu mostu?

Ale ludzie są podejrzliwi. Pan Merkurowicz miał właśnie tę wadę i, na słuszne wywody Weichselfischa nie zważając, upierał się przy swojej propozycji...

— Ta... ta... ta! Gadaj Judka zdrów! mnie w pole nie wywiedziesz! Lepiej się nie wykręcaj sianem i siadaj do gry. Utniemy partyjkę „stukółki“... Wygrany funduje piwo... Zgoda? i pan sekretarz z nami.

Stempelski skinął potakująco głową.

Wobec uczestnictwa urzędowej figury, Judka, godząc się już z przeznaczeniem, z głębokim westchnieniem wygłosił:

— Niech będzie stukółka... Skoro pan sekretarz jest na to amator.

Czuwający w pobliżu Karczocha na „jednej nodze“ pobiegł po karty i niebawem całe grono, założywszy „pułę“, zasiadło do gry.

Widocznie jednak przeznaczenie nie chciało, aby Judka padł ofiarą hazardu tego wieczora, bo

w chwili, gdy pan Stempelski, mając w kartach króla, „zarabował“ asa i już wyciągał rękę po wygraną, ukazał się we drzwiach Wiorstowicz z okrzykiem:

— Popękacie z ciekawości, jakie nowiny przynoszę! Koniec świata, jak honor Kocham! Przy tych słowach podszedł do stołu i dla przerwania dalszej gry pomieszał leżące karty.

Spojrzał nań z wyrzutem Stempelski. Przepędzki niechętnym obrzucił wzrokiem, bo, mając trzecią damę atutową, spodziewał się „oblizać lewą“—lecz chwilową urażę przemogło zaciekawienie.

— Cóż takiego?—spytano chórem.

— Może Bismarek umarł? — zagadnął nadsluchujący pan Nikodem, wielki nieprzyjaciel Niemców, którym upadek dobrobytu wśród szlachty, a co za tem idzie, stagnację we własnym interesie przypisywał.

Przybyły potrząsł głową.

— To może jaki wypadek z Artonem?—zapytał Weichselfisch.

— Ho! ho! z Artonem? już kaput! — objaśnił pocztmistrz.—Siedzi już w klatce... Anglia... wydała go władzom francuskim.

Judka splunął.

— Ale co tam Arton!—opowiadał z entuzjazmem Wiorstowicz. — Odkrycie! znakomite odkrycie! Panie Merkurowicz, pana to najbardziej zainteresować powinno...

— Słucham! słucham! naczelniku... Mówcież!—dopraszał się pan Albin.

— Krótko powiem... niema już tajemnicy! fotografia wszystko wykrywa... panie Albiu!

Pan Albin namiętnie uprawiał fotografię, miał aparat i jako fotograf-amator zyskał już wielkie powodzenie u płeć pięknej, nie przeto dziwnego, że nowina, przyniesiona przez pocztaltera, zaciękaowała go niezmiernie.

Przysunął się bliżej, oczy wytrzeszczył i, porzącając rękę Wiorstowicza, wykrzyknął:

— Gadajże, naczelniku! A to ciekawe! muszę zaraz to odkrycie wypróbować...

Wiorstowicz dla wzbudzenia większej ciekawości milczał czas jakiś, a po chwili z flegmą wydobyl z kieszeni surduta zwitek najświeższych gazet...

— Macie! czytajcie! umyślnie schowałem te numera dla was—rzekł, łącząc słowa z uczynkiem.

Rzucono się do dzienników.

Zapanowało ogólne milczenie, o stukulce nikt już nie pomyślał, nawet gospodarz, tak zawsze troskliwy o gardła gości, zapomniawszy o przyniesieniu świeżej kolejki, zabrał się do czytania.

Po chwili Weichselfisch, który z druku niewiele mógł pojąć, o co właściwie idzie, przerwał, pytając:

— Zwyczajny figiel! co wielkiego?

— Głupiś Judka! — odparł bez ceremonii, urażony lekceważeniem fotografii, Merkurowicz. — Przewrót... przewrót zupełny... Odkrycie Roentgena to historyczna karta w dziejach fotografii.

— Tak! tak! — zawtórował Przepędzki.

— To się wie—potaknął Wiorstowicz. — Teraz z pomocą fotografii będzie można zdjąć podobinę przedmiotu, ukrytego w szkatulce, w komodzie...

— Jak to?—spytał Judka...

— Przypatrz-że się, Weichselfisch. Oto rycina, zdjęcie klejnotów, zamkniętych w kasetce, to wizerunek zwichniętego piszczeła...

— Nowy wynalazek i w medycynie zatem znajdzie zastosowanie—zauważył Stempelski.

— Mamy już tego przykład — pouczał pocztalter — oto wyjęcie kuli, siedzącej w ciele od lat kilkunastu, której nadaremnie poszukiwano.

— Patrzcież! patrzcież państwo! koniec świata! Do czego to doszło — rozważał Stempelski — słowo uczciwości dają, to przechodzi pojęcie o wyobrażeniu. Teraz na ten przykład, przy superrewizji symulacya... zdechł pies! Udasz kulawego, głuchego, powiesz, że masz rękę złamaną... odfotografują i... pod karabin.

— To się wie! — potaknął Wiorstowicz. — Wszystkie sztuczki na nic!

Teraz już i Judka zaczął kiwać głową w zamysleniu...

— To wielka rzecz!—rzecz po chwili.—Rarytny wynalazek. Jak się nazywał ten... ten mądry fotograf?

— Nie prosty fotograf, lecz profesor. Profesor Roentgen—ujął się pan Albin.

— Roentgen—powtórzył Judka. — Czy on nie z „naszych” przypadkiem? Na tym interesie można zarobić ładny grosz!

Karcący wzrok Merkurowicza był dostateczną odpowiedzią na rodowodowe pytanie Judki; nie dotykając już przeto pochodzenia wynalazcy, Weichselfisch począł w dalszym ciągu dopytywać się o praktyczne zastosowanie wynalazku.

— To, proszę pana — rzekł, zwracając się do prowizora, którego kompetencję uznawał—przed takim promieniem nie się nie uchowa. Dajmy na to biżuterję w zamkniętej skrzynce można odfotografować? A co taka *zurka* kosztuje?

— Tego nie wiem, ale odfotografować wszystko można. Promienie Roentgena czynią każde ciało przezroczystem. Naprzykład przez ciało ludzkie widać kości i soczewka fotograficzna odkrywa... — objaśniał.

— To mniej więcej w tem świetle ciało jest jak galareta z nówek — wtrącił pan Nikodem Karczocha.

— Porównanie właściwe i trafne... a nietylko ciało, ale i drzewo, pod wpływem tych promieni galarecieje—tłumaczył naukowo pan Albin.

— To, z przeproszeniem pana prowizora—spytał Weichselfisch—jakby się na ten przykład trafił złodziej fotograf z taką *zurką*, to mógłby w kuferku pieniądze wypatrzyć i, nie daj Boże, ukraść.

Pana Stempelskiego, mającego kapitały przechowywane w zwykłym biurku, ciarki przeszły. Pobladł i z uwagą oczekiwał odpowiedzi prowizora.

— Zapewne — rzekł tenże — ale kasy ogniotrwałej nie przepatrzy, bo metal nie przepuszcza...

— Nie przepuszcza — powtórzył uspakajająco sam do siebie sekretarz magistratu.

— To jeszcze niewiadomo z pewnością—zaproponował Wiorstowicz.—Z każdym dniem wynalazek robi nowe postępy. Czytałem, że już listy w zamkniętych kopertach odfotografować i czytać mogą.

— Niby to tego naczelnik bez fotografii nie potrafisz—szepnął mu na ucho Przepędzki.

— Daj pan pokój z żartami! My tu rozmawiamy na seryo—odrzekł poczthalter.

Wzmianka o listach niezmiernie zaintrygowała pana Albina. Kochał się na zabój w pannie Eugonii, najmłodszej córce burmistrza, a miał przecucie, że bogdanka go zdradza, bo często koresponduje z „kimś” z Warszawy. Próbował wykryć tajemnicę, ale listy były rekomendowane, więc Wiorstowicz stanowczo od współdziałania się uchylał i pieczęć tajemnicy, mimo usilnych próśb zakochanego, nie została naruszona. Teraz przyszło mu do głowy... a nuż!

Odciągnawszy przeto na bok poczthaltera, zaczął:

— Wiecie, panie naczelniku! W waszych rękach los mój! Przeczuwam, że Genia mię zdradza: ale chcę mieć pewność. Jadę do Warszawy, kupuję aparat Roentgena i... jeśli naczelnik mię kochasz, odfotografujemy jej listy! Przecież pies się nie dowie! A jej do oczu pokażę! Niech wie, że mnie, prowizora farmacyi, na dudka wystrychnąć nie można...

— Pogadamy o tem potem, kochany panie!—odpowiedział wymijająco Wiorstowicz, a, wracając do stołu, dodał:

— A pamiętajcie tam o flaszeczce *odecolori* dla mnie... i fiksatuarek zdałby się...

Przymówka wydała się Merkurowiczowi dość obiecującą na przyszłość, więc, uśmiechnąwszy się, odrzekł:

— Jutro naczelnikowi sam wszystko przyniosę...

Mimo chwilowej nieobecności dwóch towarzyszków, dysputa na temat promieni Roentgena nie ustawała.

Najwięcej zainteresowania zdradzali Weichselfich i Stempelski. Każdy jednak z innego powodu. Kiedy bowiem sekretarz rozmyślał nad ochroną przeciw skutkom wynalazku, dzierżawca mostu rozważał praktyczne zastosowanie cennego odkrycia w stosunkach ekonomiczno-kredytowych.

Po dłuższem zastanowieniu się spytał wreszcie Merkurowicza:

— Bez urazy, panie prowizorze, ja mam jedną myśl. Na ten przykład w kupieckim stanie trafi się czasem brzydka potrzeba zrobienia zajęcia z komornikiem u którego z obywateli. Zwyczajnie kiepskie czasy... Trafi się, że człowiek przyjedzie na grunt, a tam nie niema, same graty... Co lepszego... srebra... kosztowności... pochowają w dziury... Trzeba brać co jest. Kłopot, subiekcyja, koszt na turmanki... nieprzyjemność. To ja myślę, że jakby przyjechał z takim *rurkiem* i puścił światło na dwór, toby wszystko widział jak na dłoni... gdzie srebra... gdzie porcelana... gdzie droższe rzeczy są... I obyłoby się bez kłopotu. Człowiek szedłby pro-

sto do takiego miejsca, do takiej kryjówki i kładł pieczęć... Czy ja dobrze powiedziałem?

— No! przykra to rzecz zajęcie, panie Weichselfisch, ale w istocie wynalazek Roentgena i tu dałby się zastosować, ale potrzeba na to specjalisty, fotografa. Człowiek niekompetentny nie tu nie zrobi.

— Jak trza! to trza! będzie fotograf. Jak to wejdzie w modę, to w każdym miasteczku będziemy mieli takiego specjalistę. Czy wielki wydatek?

— Niewielki, ale zawsze jest...

— To się później wszystko w kosztach dołoży...

— Jeśli to prawda, co mówicie—wtrącił na to pisarz prowontowy, pan Przepędzki — to i zboże w śpichrzu odfotografować można.

— Takoz—upewniał pan Albin.

— Śliczna rzecz! śliczna rzecz — z uwielbieniem wygłosił Weichselfisch i, nie czekając dalszych rozpraw, pożegnał obecnych, aby się jaknajprędzej radosną wieścią ze współwynalazcami podzielić.

Pozostali przedstawiciele inteligencji Pośladowa debatowali nad wynalazkiem Roentgena do białego rana.

Przy naukowej rozprawie pękł bez mała antalek piwa, ku wielkiej radości pana Nikodema Karzochy, który, pijąc z gośćmi na zdrowie wynalazcy-profesora, wyraził jedynie obawę, że z pomocą *takiej rurki* nawet do garnków, bez wiedzy gospodarza, zajrzeć można. Nawet pokrywa nie pomoże!

.

W parę dni potem pan Albin Merkurowicz wybrał się do Warszawy po nowy aparat, z którego pomocą miał nadzieję zdemaskować obłudne serce panny Eugenii, pan Stempelski sprowadził sobie kasę ogniotrwałą na kapitały, a Judka Weichselfisch wyprawił najmłodszego syna, Mendla, na naukę do fotografa w Kozienicach.

— Nie płacz, Sure! Będzie miał z czasem ładny kawałek chleba! Będzie z *ruką* i komornikiem jeździł na *zajęcia* — utulał żonę, lamentującą przy odjeździe Benjamina.

Taki wpływ wywołało w Pośladowie odkrycie Roentgena.

RUCHŁA TIULIK.

Koszerów był bardzo ładnym miastem, sławnym miastem. Prosty rachunek, który i na palcach zrobić można, pokazuje, że tam, gdzie mieszka trzy tysiące pięćset ludzi, a z tych trzy tysiące trzysta jest prawdziwych żydków, to takie miejsce musi być koniecznie miasto, śliczności, miasto!

To też i Koszerów nie był żadną osadą, gdzie byle cham, byle grubijan może być zaraz urzędnik, zaraz wójt... ale prawdziwym miastem z magistratem, kahałem, bóżnicą, mykwą i innymi sanitarnymi ulepszeniami, ku wygodzie trzech tysięcy trzystu wyznawców Jehowy. Gdyby nie te dwieście gojów, prostych łyków do cep i motyki, to Koszerów byłby z pewnością jeszcze sławniejszy. Byłby bez mała tak sławnym, jak Pacanów, Osiek, Kozienice, byłaby to sławność pierwszej gildyi! Ale jak w stadzie cienkowielnistych owiec kilka, parę sztuk włochałych świniarek, kilka braków robi gruby feler, tak te dwieście ordynaryjnych łyków, zwyczajnych grundali, psuło cały porządek, cały gust!

Stąd między sławnością Osieka a Koszerowa był taki kawałek różnicy, jak między kupcem pierwszej, a drugiej gildyi. Zawsze to było bardzo rażące miasto, poszukać daleko takiego miasta!

Miało nawet trzy murowane kamienice w rynku.

A jaki to był rynek! Na wszystkie strony świata można było z niego wyjechać i na wywrót z każdej strony w rynek się dostać. Nie był on wprawdzie wybrukowany, bo i niech kto powie: po co? Kamieni siał nie trzeba, mówią starzy ludzie i dobrze mówią... O przypadek, o głupie zdarzenie nie trudno; koń ma cztery nogi, cztery podkute nogi, a potknie się, dlaczego człowiek nie mógłby się potknąć? Może się potknąć, może upaść, co nie daj Boże! a każdy o swoją skórę dbać powinien. Wiadomo, jak człowiek upadnie na kamień, na twardy bruk, to może sobie na czole siniaka nabić, może prawą rękę zwichnąć, obie nogi złamać, a komu się taki wypadek na miękkim miejscu przytrafi, to się podniesie, obejrzy dokoła, strzepnie z kurzu lub z błota, splunie i bez bólu pójdzie dalej za interesem. Dlatego nie był to żaden feler, że rynek koszerowski nie miał bruku, żaden wstyd. Było nawet trochę zysku, nie mały zarobek... Wiadomo, każde boskie stworzenie potrzebuje jadła, potrzebuje swojej wygody, to nie jest grzech! a koza bruku, kamienia nie ugryzie, a jak sobie trawy poskubie, to dwie i trzy, jak czasem, kwaterki dobrego mleka da. Trzeba mieć wyrozumiałość dla niemego stworzenia. Co komu może być za przeszkoda, że biedny żydek ma swoje trzy kwaterki mleka, koza swoją trawę, swoje pastwisko? Całkiem nie! Rynek i tak był rynkiem, nie go na tym interesie nie ubyło. To też rynek koszerowski, oprócz dni targowych, co drugi czwartek (z wyjątkiem świąt żydowskich) wyglądał jak wspólne kozie pastwisko, jakby na nim ciążył serwitut, kapka służebności.

Stały także na rynku, w każdym rogu po jednej, na słupach dwa łokcie siedem cali wysokich, na zielono pomalowanych, cztery latarnie. Za samo tylko szkło i robotę od nich wziął Haskiel sześć złotych groszy dwadzieścia osiem i to z wielkim targiem! Chciał wziąć całe półósma złotego, ale rabin kazał mu spuścić z ceny i musiał brać o siedemnaście groszy mniej... Nieraz wyrzekał, że był stratny na tym interesie, ale on tylko tak gadał, a „chejrym” na to dać nie chciał... Paskudnik! Te cztery latarnie były całkiem mało używane, prawie jak nowe. Mogą tak stać i dwa tysiące lat. Na to nie potrzeba delikatnego rozumu, każdy Bartek to pojmuje, że Pan Bóg stworzył noc do spania, a dzień do interesu. Po co Panu Bogu na przekór z nocy robić dzień i świecić światło? na co marnować naftę? W nocy porządny człowiek śpi, a złodziej? on... i bez latarni (żeby go choroba ścisnęła!) trafi i spokojnego kupca skrzywdzić może. Po co jemu jeszcze świecić? Dwa razy tylko w Koszerowie oświetcono wieczorem rynek. To były dwie bardzo rzadkie okazy. Raz jak jakiś starszy przyjechał na rewizję magistratowej kasy, spalono 1½ kwarty kanfiny, a drugi raz, ale to już była cała illuminacya!—gdy pani burmistrzowa sprawiała wielki bal, tańczącą kawę... Nietylko się latarnie świeciły i była jasność wielka, ale służąca od pani burmistrzowej wzięła na borg u Ruchli Tiulik 3 funty stearynowych świec, po 6 sztuk na funt. Byłaby wzięła więcej, ale Ruchla Tiulik skłamała, co już brakuje towaru (żeby tak każdemu brakowało): ona się tylko bała

więcej zborgować. Niedarmo rabińska wnuczka! to do każdego interesu ma swój rozsądek i dobry rachunek. Daleko poszukać takiej kupcowej jak Tiulik! i bogaczka i familjantka, z takiego już rodu jest! Cały ród Tiulików taki zdatny, same najbogatsze osoby, najpierwsze kupcy w Koszerowie. Wszyscy mają wcale dobre utrzymanie, swoją posiadłość.

Najpiękniejsze budynki w Koszerowie, trzy mrowane kamienice, do kogo należą? Do Szymchy Tiulika. Kto ma największy sklep delikatesowy, porządny zajazd i numera od gości? Ruchla Tiulik, jego córka. Kto dzierżawi mostowe? Jankiel Tiulik? Kto trzyma propinację? Mendel Tiulik. Kto ma największą jatkę na cały Koszerów? Uszer Tiulik, czasem bije i dwie sztuki w tydzień!

Ale największy brylant w całej rodzinie, najgrubsza osoba, był stary Mojsie Tiulik, rabin koszerowski (niech jeszcze dwa tysiące sabbatów świętuje), bardzo znany rabin, człowiek uczony patriarcha całego rodu Tiulików. Dlaczego miał takie nazwanie „Tiulik“, a nie inne, wielka ciekawość! Mówili starzy ludzie, że on nie tiulik, ale najraźniejsza koronka, najgustowniejsza wstawka jest. Jaki z niego sławny rabin, to cała historia! mało powiedzieć! to dubeltowa historia, to całe dwie historie.

Kiedy pierwszy raz miano brać żydków do wojska i wspomnieć brzydko taki paskudny interes! to w całym Koszerowie nie było ani jednego Machabeusza, coby z ochotą chciał iść, kto słyszał! z bagnietem wywijać, albo z piką na koniu jechać,

to nie jest żydowski kawałek chleba... Wtedy Mojsie rabi, słysząc wielki gwałt, głośny lament, straszny kram... wezwał na radę cały kahał.

Co uradzili, niewiadomo.

Ale gdzie tyle uczonych głów myśli, tam i dobry sposób się znajdzie. Pojechał Mojsie rabi do powiatu i złożył panu naczelnikowi deklarację na piśmie, dał rabińskie słowo „chejrym“, że on na termin wszystkich popisowych żydków na plac dostawi, wszystkich, prócz tych, co będą leżeli na kirkucie.

Dał słowo i naczelnik przystał, bo żaden nieboszczyk w wojsku potrzebny nie jest. Wszyscy się dziwili, zwyczajne proste rozumy, na co Mojsie-rabi dał takie słowo? A to był właśnie sposób! Jak przyszedł dzień odbirki, Mojsie-rabi wybrał młodych żydków, co najzdrowszych, co najzdaciejszych kawalerów, każdemu kazał wziąć w kieszeń kawałek chały i po jednym śledziu. Wszyscy myśleli, co już na nich przyszedł ostatni dzień! czarna godzina!

Myśleli, głupie barany, co Mojsie-rabi na to kazał im brać wiktuały, żeby w powiecie mieli co jeść. Zaczęli płakać!... A Mojsie-rabi roześmiał się tylko, że u nich taki krótki rozum i kazał wszystkim iść na kirkut i tam leżeć, leżeć spokojnie, aż do nowego rozkazania. Wtedy wszyscy zrozumieli, na co Mojsie-rabi dał „hejrym“ i jaki mądry sposób obmyślił.

Do powiatu zaś odwiózł Mojsie-rabi, bo słowo trzeba trzymać! drugą partję żydków, same braki, sam wysortowany towar. Każdy miał jakiś

feler, kawałek niedokładności. Byli i kulawi i ślepi na jedno oko i z wyrzutem na głowie, było i kilku głuchych. Pan naczelnik obejrzał całą chorowitą gromadę, dziwił się bardzo i kazał wszystkim iść do dyabła! Więc oni poszli do Koszerowa. I wszystko miałyby ładny koniec, ale ludzie są zazdrośni!

Jakiś łajdak, okrutnik, zrobił denuncyację wykrył cały sposób!

Nasłano śledztwo.

Trzech żydków, trzech husytów wzięto pod karabin, biedne chłopaki! a Mojsie-rabi zamknięto na trzy tygodnie do kozy. Wielka była z tego powodu niespokojność, ale wstyd żaden. Czy to jedna mądra głowa siedziała w kozie? Największym przynęcałom, najznaczniejszym osobom trafiał się taki przypadek, taka trefna okoliczność!

I prorok Daniel był w lwiej jamie, a wyszedł cało i włos mu z głowy nie odleciał i taki znany wojownik, taki chwata, jak Napoleon, siedział zamknięty na wyspie, na której nie było ani wody, ani ziemi, tylko dwóch wartowników, co go na zmianę pilnowali.

Więc i Mojsie - rabi, choć był w kozie, nie miał stąd żadnego wstydu ani hańby. I krzywdy nie miał... co dzień dostawał koszerne potrawy na gęsim szmalcu i rybki i inne marynaty. A jak wrócił to był wielki fest, wielkie święto w Koszerowie!

Radni zakupili za kahalne pieniądze kwartową butelkę śliwownicy i trzy flaszki rodzynkowego wina i kilkanaście sztuk miodownika i zrobili so-

bie traktament, a Mojsie-rabi siedział na pierwszym miejscu i dziękował za ten honor i jadł i pił za pomyślność całego miasta.

I odtąd Mojsie Tiulik stał się jeszcze znniejszym, jeszcze sławniejszym nietylko na cały Koszerów, ale i na inne miasta.

Pan Bóg jest sprawiedliwy i potrafi krzywdę nagrodzić. Mojsie-rabi siedział za dobrą sprawę trzy tygodnie w areszcie, to on zyskał za sto lat sławności, on i cały ród jego.

Kiedy u Szymchy Tiulika dorosła najstarsza córka, Ruchla, a wnuczka Mojsie-rabi, to z całego świata zjechali się swaty od najznaczniejszych kawalirów, bo ktoby nie chciał dostać takiego rajskiego owocu! takiego dukatowego złota!

Szymcha Tiulik dawał 5000 rb. wiana, czystej gotówki, ładny grosz! dawał bez żadnej płaty na lat dziesięć sklep frontowy i trzy pokoje w swojej kamienicy w rynku.

Lekko rachować, to warte było najmniej sto czterdzieści trzy ruble na rok! Z takim towarem prosić się nie trzeba, to też Szymcha Tiulik, był bardzo wybredny, twardy do zgody. Ale wszystko musi mieć swój koniec.

Na jeden sabat przyjechał do Szymchy nowy swat, bardzo gładka osoba, a przysłał go rabi Biłgorajski, który chciał koniecznie swego wnuczka, bardzo ucznego husyta i nabożnika, z Ruchlą Tiulik zenić. Co tu dużo gadać? Ktoby nie chciał mieć zięciem takiego familjanta, takiego nabożnika, jak Majorek? ktoby nie chciał dać córki wnuczce rabina z Biłgoraja? Szymcha przystał.

Majorek złożył 3,000 rubli gotówką i obiecał dać za 350 rubli podarków. Naznaczono dzień wesela za pięć tygodni. Nie będą opisywał co się tego dnia działo w Koszerowie. Co to było za wesele.

Nie bagatela, kiedy pierwszy bogacz w mieście wydaje córkę za takiego familianta i nabożnika, jak wnuczek rabi Biłgorajskiego! Paradne wesele! Szymcha Tiulik na swój koszt kazał oświetlić rynek i wtedy po raz trzeci palily się latarnie w Koszerowie, najął trzech muzykantów, a jedzenia, dobrych smakołyków, wina, piwa i wódki to by starczyło na trzy mniejsze wesele.

Nie żałował grosza Szymcha Tiulik, całkiem się rozhulał i musiał tego dnia trochę za dużo wypić, bo przy końcu przegrał w „drei małkes“ do Majorkowego swata pięć złotych groszy dwadzieścia jeden. Ale mu nie było markotno: taką miał uciechę tego dnia.

.

Młodzi po ślubie założyli sklep, bardzo ładny handel delikatesowy z rodzynkami, pieprzem, kawą, solą, olejem, szuwaksem i innymi marynatami. Włożyli w ten interes tysiąc pięćset rubli, a resztę gotówki oddali na procent. Wiadoma rzecz, jeżeli kto jest husyt, to on w swojej osobie handlować nie może, dopóki nie będzie miał dziecka, dopóki ojcem nie zostanie, a na to trzeba bez mała rok czasu czekać. Tak zakon każe.

I Majorek, jako z dużego rodu był, musiał to prawo zachować i kilkanaście miesięcy swój rozum

w nabożnych książkach ćwiczyć, a do handlu się nie brać, żeby mu się ładny potomek udał.

A przez ten czas cały handel, cały sklep musiał być na głowie Ruchli. I szyld nad sklepem dużemi literami wymalowany był na jej imię: „*Ruchla Tiulik sklep korzenny i delikatesowy*” stało jak wół wypisane. Szyld na obstalunek robił ten sam lakiernik, co latarnie koszerowskie malował, pierwszy raz robił taką rzecz, ale nie można powiedzieć, żeby nie wykończył udatnie.

Może i lepiej się stało, że Majorek był husyt, bo choć uczony i bardzo nabożny, ale do handlu, prócz głowy i wywieszzonego rozumu, potrzeba mieć jeszcze ładną mowę, sławną mowę.

A wiadomo, że nie każda mądra głowa, myślący rozum lubi dużo gadać. I Majorek, choć wielki nabożnik, lubił całkiem mało mówić, ale za to Ruchla Tiulik to dla każdego miała inne słowo, inny sposób, słodkie gadanie! Nie darmo rabińska wnuczka!

Zrozumiał to Majorek i choć się jego husycki termin skończył i Ruchla z małym Lejbusem (oby się w zdrowiu chował!) miała kawalek turbacyi, on się do handlu nie brał, ale dalej nabożne książki czytał; widocznie do takiego siedzącego interesu miał za ciężką głowę, a po co miał sobie głowę psuć, kiedy i bez niego Ruchla była całą gębą kupcowa.

Utagowanie miała niemałe, pieniądze płynęły jak woda, a i zarobek gruby był.

Trwało tak lat kilkanaście.

Ale po co lata liczyć? Tam, gdzie kobieta wchodzi do interesu, rachować lata... to kapka nie-delikatności, to całkowita niegrzeczność.

Dość, że był to dobry czas, ładny czas, każdy spokojnie kładł głowę do poduszki.

Zwyczajny chłop, prosty cham, chrapał do-brze, nie przewracał sobie z boku na bok, bo jak się dzień cały na pańskim narobił, to mu się takich zbytków nie chciało. Szlachcic, pan, dziedzic, nawet dzierzawca, miał słodki sen; on wiedział, że robocizną ma, że chłop zaorze, zarznie, wymłóci, a on tylko potrzebuje sprzedać i pieniądze do kieszeni schować. Zjadł, wypił, miał wolną głowę, o gospodarstwo ani kawałka ambarasu, to mógł sobie na wywczasowanie pozwolić.

I na żydków był dobry czas!

Byle faktor miał swoje utrzymanie, lekki kawałek chleba, a dla znacznych kupców, dla grubych pieniędzy, no, szkoda i słów marnować!

Każdy żydek miał wtenczas sen spokojny, teraz i w sabat tyle godzin nie prześpi, choćby mu na samem darterm gęsiem pierzu posłali.

Oj! oj! miodowy to był czas i nigdy chyba żydkom lepiej nie było, nawet wtedy, kiedy Esterka na tronie siedziała, nawet wtedy, kiedy Pan Bóg sam mannę gotową do jedzenia rzucał, a każdy żydek mógł brać i jeść, nieprzymierzając, jak wodę, bez żadnej płaty, a jaki kto chciał mieć smak, taki w niej znalazł. Jeden lubił łoksinę, to mu manna smakowała jak łoksina, drugi chałę, to mu się w gębie manna na chałę zmieniała, można było jeść do syta. Teraz co prawda manna z nieba nie le-

ciała, ale za to zarobki były łatwe i duże; a wiadomo, że jak zarobki są, to najlepszą głowę do takiego interesu kto ma? Żydek.

A jeśli kto ma taką modelowną główkę, jak Ruchla Tiulik! taki smak do handlu, taki delikatny gust do kupna, temu jeszcze z każdego interesu lepiej, niż manna w proficie zostanie.

„Duża ryba potrzebuje dużej wody” — mówi żydowskie przysłowie — a jeśli ona przypadkiem na małej wodzie jest, to będzie dotąd skrzelem płuskać, z boku na bok się przewracać, aż się na głębokie miejsce dostanie. Tak i z handlem! Jak dobra głowa weźmie się do handlu, to choć ona znacznie interes w prostym kramie, to z czasem zrobi z niego rarytny sklep, wielką spekulację. Dobra głowa na mały interes nie patrzy. A że Ruchla miała rabińską główkę, za to jej niedługo w sklepie było ciasno, ona potrzebowała większy luft, większy obrót, znaczniejszy ruch. Kto ma pieniądze temu z łatwością wszystko idzie.

Ruchla Tiulik poszła do Mojsie-rabi i kupiła sobie „hajzówkę” na całą okolicę, na wszystkie obywatelki ziemskie na dwie mile dokoła Koszerowa. A choć ona mu wnuczką była, to on jej i tak kazał zapłacić pięćdziesiąt rubli na kahał za taką rzecz, według taksy, wedle sprawiedliwości! Tak zakon kaze!

Ruchla zapłaciła. Prócz tego wydatkowała sobie na resorową brykę o dwóch dyszlach i konia. Kupiła to wszystko na licytacji za trzydzieści sześć rubli pięćdziesiąt cztery grosze.

I pojechała między szlachtę za handlem.

Największą miała ochotę na wełnę, lecz później zaczęła kupować każdy towar: i okowitę i zboże, i skórki bydłce i owcze, i inne ziemiopłody. Zwyczajnie, jak w handlu nie można w towarze przebierać, a nawet tak się często zdarzy, co kupiec płacił za pszenicę, a odbierze groch, albo kupił wełnę, a odebrał okowitę; ale na to już potrzeba grubego kupca, znacznego pieniądze. Kupić owies i dostać owies, to byle chałaciarz, byle przelwacz potrafi, ale żeby się owies zmienił w pszenicę albo rzepak, na to potrzeba delikatnego rozumu, wyćwiczoney żyły do handlu. Taki interes, choć prosty jest, nie każdy potrafi, a zysk daje duży. Dlaczego?

Nad tem nie potrzeba długo myśleć.

Jak szlachcic sprzedał groch i oddał groch, to już koniec! można zarobić, można stracić! Ale, jak go nie oddał, jak kupiec kupił to, czego niema, to wtedy zaraz groch poszedł w górę, a wełna, którą szlachcic chce dać za groch, ogromnie nisko spadła... Ale co robić?

Biedny żydek jest zgodny, on weźmie i wełnę, ale nie chce być stratny, musi kupić taniej, on by wolał wziąć groch, ale kiedy niema, to on chce wygodzić! Bierze co jest; taki już niego ryzykant. Czasem i wełny nie odbierze... to jeszcze lepiej! wełna znowu drożeje, a okowita tania... Taki interes to brylantowy interes!

Czasem się zdarzy, że kupiec odbierze całkiem nic, jak szlachcic robi bankrut, ale to się w tym czasie, jak Ruchła zaczęła handlować, jeszcze nie zdarzało, a że ze sklepu znali ją wszys-

cy panowie, to do każdego dostęp miała łatwy i targ sposobniejszy. Ale że dla jednej spekulacyi nie trzeba drugiej puszczać z ręki, to Ruchła sklepu całkiem nie opuściła, ale owszem miała teraz i zajazd, i gościnne stancye, i przekąski, a choć ona jeździła po wsiach za handlem, to już w domu miała swoją wyrękę.

Lejbuś, najstarszy syn i Ryfka już mieli z matki talent od młodu do targowania, a i sam Majorek zaczął coraz mniej w nabożnych ksiązkach czytać, on i tak był dosyć *uczny*, więc do handlu się wprawił; dlatego, choć wyjechała, miała o sklep spokojną głowę. W jeden tylko jarmark, to już sama siedziała, ale nie nie mówiła, tylko patrzała, jak dzieci dają już sobie radę, i wielka radość wstępowała w jej serec. Bywało, wejdzie do sklepu pan pisarz gminny, to Ryfka zaraz skoczy, ukłoni jemu i mówi: „Dzień dobry panu sekretarzowi! co wielmożny pan potrzebuje“?

Jak kto ma takie słodkie słowo, taką grzeczność, to i utargować może. Jak kto zrobi pisarza sekretarzem, wielmożnym panem, to jemu już wstyd byle co kupić, to on kupi i to co mu niezdatne, a targować to się całkiem nie będzie. Taka już ludzka natura; powiedzieć kapitanowi: pułkowniku, to się nie obrazi, ale zrobić na wywrót to będzie kłął. I ryba żeby mogła gadać, taka sama byłaby honorna. Głupią płotkę zrobić szczupakiem, toby sama w sieć wlała, ale jakby kto wolał na szczupaka płotka! toby się zgniewał i uciekł! Lepiej tak robić, żeby ryby w sieć lały. Na drugi raz, bywało, wejdzie do sklepu prosta chłopka z chustką

na głowie, a Lejbuś zaraz do niej mówi: „Co pani sobie życzy? proszę siadać.“

To chłopka myśli, co jest naprawdę pani dziecizka i pokazuje dużym palcem na łokciową sztukę i powie: „Niechno kupiec da tego!...“ A Lejbuś zaraz: „Przepraszam bez obrazy, ale to drogi towar, to może nie dla pani; wczoraj trzydzieści łokci tego materiału wzięła dziecizka z Koziej Wólki... ale mam jeszcze tańsze...“ To taka się zgniewa i zacznie krzyżeć: „Dawaj kupiec tego, kiej mówię! tanie czy drogie, to moimi pieniędzmi płacę, a kupcowi nie do tego! widzisz go!“

A Lejbuś tylko się śmieje i przeprasza, towar podaje zaraz, zachwala a cenę stawia wysoką. Baba chciałaby się targować, ale Lejbuś nie chce nie opuścić i bierze cenę większą jeszcze, niż sama Ruchla Tiulik, bo babie wstyd o parę groszy się nie zgodzić.

Z takim sprytem do handlu, z taką mową to się nie zawsze spotkać można; to też Ruchla miała przez takie dzieci drugie bogactwo, drugi skarb.

I dlatego ona już cały sklep oddała na rządzienie Majorce i dzieciom, a sama tylko robiła pończochę, a jak które z dzieci jaką mądrą sztukę obmyślało, to mrugała na męża, a on na nią i obydwójgu słodko się na sercu robiło, że takiej pościechy doczekali.

Czasem tylko, jak weszła jaka godniejsza osoba, jaka prawdziwa pani, albo który obywatel, to i Ruchla zaczynała rozmawiać i towar chwalić, a że znajomość miała z wszystkimi, wiedziała jak z kim gadać jak komu po sercu łechtać. To spytała

o dzieci, to o żonę, jak kogo, czasem o urodzaj, nawet sam Majorek, choć całkiem mało lubiał mówić, ale za to, jak usta otworzył, to nie słowa płynęły, ale miód...

To też Pan Bóg błogosławił grzecznym kupcom i dawał im dobre utargowanie, a razem z bogactwem przybywało i dzieci.

Wiadoma rzecz, jak komu idzie, to wszystko idzie, na każdym kroku szczęście. Majorek już dziesięć świeczek w bóżnicy palił, Ruchla już dziesięć ładnych potomków mu dała, a ludzie mówili, co jeszcze na tem nie koniec. Niedługo czekać! to Majorek cały tuzin świeczek w bóżnicy zapali!

Dałby Bóg! z takiego rodu tylko udatne kupcy, dobre husyty i nabożniki być mogą, a żaden z gołemi rękami do handlu się nie weźmie, bo o tem już myśli Ruchla Tiulik, a wiadomo jak ona mądrze myśli.

.....
Tak było bardzo długo.

Ale dobry czas miał się skończyć, miało nastać gorsze położenie, a później to już całkiem brzydka pora na kupców, na żydków.

Najpierw, to była pierwsza trefna okoliczność, kilka parę familij żydowskich, co siedziało na wsiach, trzymało propinacye, zjechało do Koszerowa. Nie chcieli im sprzedać patentu, mówili, co żydkom już nie będzie wolno na wsiach wódką szynkować. To był najpierwszy nieporządek, bo oni musieli jechać do miasta, wziąć się do innego interesu i w handlu koszerowskim zrobiło się ciasno, bo jeden przed drugim chciał targować i taniej opuszczać... Co ko-

mu szkodziło, że żydek wódką szynkuje, a chłopek pijak pije? Jakby on nie pił, toby żydek nie szynkował, a czy mu żydek należy, czy katolik, to dla pijaka jedność, a żydek zawsze zgodniejszy, to mu nawet i lepiej. Gdy się stała taka brzydka okazyja z propinacją, poszli koszerowscy kupcy co najtaniej do Mojsie-rabi radzić, ale Mojsie-rabi z desperacyi tylko machnął ręką przewrócił z okiem i... umarł.

Taki wielki ból serce mu ścisnął!

Teraz zrobił się już w Koszerowie cały gwałt, hurtowny lament. Wszyscy wiedzieli, że Mojsie-rabi nie darmo umarł, że on musiał poczuć, że paskudny czas na żydków nadchodzi.

Pogrzeb Mojsie Tiulik miał paradny.

Wszystkie Tiuliki dały coś na biednych a największy podarunek zrobiła sama Ruchla. Prócz gotowego grosza, którego rozdała dwadzieścia dziewięć złotych i groszy osiemnaście, ofiarowała jeszcze piętnaście funtów cukru i 4 funty herbaty po sześćdziesiąt kopiejek za funt.

Biedni długo pamiętali pogrzeb Mojsie-rabi i bardzo smutnie płakali; płakało również i najęte dwadzieścia pięć płaczków i cały Koszerów. Ludzi było i krzyk taki głośny, jakby na jakiej licytacyi, miarkowali bowiem koszerowskie kupcy, że taki nałożnik, jak nieboszczyk Mojsie, nie nadarmo umarł.

I pokazało się później, że oni dobrze myśleli. Gdyby Mojsie Tiulik był dożył takiego brzydkiego czasu, jak rabinów brali na egzamin, jak poczciwym żydkom kazali ucinać pejsy i nosić suknie krótsze o kilka cali, byłby z pewnością wpadł w jeszcze

większą słabość, byłby się na większy ból rozchorował. A tak to on, gdy te czasy nadeszły spał już sobie spokojnie na kirkucie, a choć nieraz i tam musiał słyszeć lament i gwałt biednych żydków, to się już z miejsca ruszyć nie mógł i musiał siedzieć cicho skurezony, póki mu anioł z trąby sygnału do ucha nie zagra, a wtedy, to on pójdzie z kirkutu prosto do nieba.

Zaraz niezadługo po śmierci Mojsie-rabi przytrafił się w Koszerowie brzydki interes, paskudne zdarzenie. Dotąd był w mieście jeden felczer, prawdziwy żydek Naftula, bardzo biegły i wyćwiczony w swej sztuce, umiał nawet i koło bydłęcia zrobić. On na całą okolicę krew wypuszczał, pijawki przystawiał, bańki wyrzynał, jakie kto chciał: cięte czy suche, bez żadnego doktora, dość było przyjść i powiedzieć. Nie było z nim żadnej subjekeyi, z każdym się zgodził i mieli prości ludzie swoją wygodę. Nagle zjawił się w Koszerowie drugi felczer z gojów i zaczął robić Naftuli konkurencyę. Ale Naftula był majster do wszystkiego! On zaraz zwałchał pisanie nosem i spuścił z ceny. Wywiesił całe sześć blaszanych talerzy, a zaczął puszczać krew po 20 groszy za kwaterekę, choć przedtem brał cały złoty. Czasem nawet, jak który chłop narzekał, że drogo, to na przykład puścił mu jeszcze z półkwaterek za darmo i dopiero chamską żyłę palcem przytykał. To samo było z bańkami: taniej brał, ale za to stawał na kanfinie, nie na spirytusie i robił na tem małą oszczędność. Ale choć sobie radził, jak mógł, zawsze drugi felczer robił mu kawałek dyferencyi i psuł cały porządek z receptami

a i swoich lekarstw bał się już dawać, bo jakby kto przypadkiem zmarł, toby zaraz drugi felezer na niego winę cisnął i zrobił denuncyjację.

To był pierwszy brzydki traf w Koszerowie a niedługo czekać trzeba było na drugie nieszczęście.

Obok sklepu delikatesowego Ruchli Tiulik była izba, duża stancyja, która prawie stała luzem. Raz przyszedł do Ruchli jeden z żydków, co przedtem trzymał propinację na wsi, wynajął izbę i zrobił z nią spółkę na wyszynk wódek, a że Ruchla targowała ze szlachtą i okowitą, był to dla niej całkiem dobry interes. Sama ona miała bardzo mało czasu, ale że dzieci w sklepie dawały sobie już radę, to Ruchla kazała Majorkowi siedzieć w szynku i pilnować spółki. Co prawda, to on na to łatwo się zgodził, bo na okowitny interes, na piwne szynkowanie miał najlepszy gust i niemalą ochotę. Bywało cały tydzień siedzi za szynkwasem, w nabożnych książkach czyta i kredką znaczy, ile spółnik półkwatek namierzy, czasem i sam z ochoty wypije. W jarmarczny dzień, albo w jakie katolickie święto, jak się chłopcy do szynku naschodzą, bywało i wszystką kredę wypisze.

Raz jednak w dzień jarmarczny zdarzył się brzydki wypadek. Dwóch pijanych chamów zaczęło z sobą po grubijańsku gadać, bez delikatności bić się po twarzy, że aż krew plusnęła i jeden z nich, widać mu się nie dobrze zrobiło, został na ziemi nieżywy. O jednego chłopca świat nie zaginie! ale źli ludzie narobili zaraz gwałtu, podnieśli rwetes, przyjechał sędzia, a że spółnik Majorka bardzo się

przestraszył, to on zostawił cały kram, a sam swarcował się za granicę. Sędzia wezwał męża Ruchli na odpowiedzialność... Taki już świat! zawsze żydek musi być winien. Co winien Majorek, że u chłopca jest taki gruby obyczaj, taka chamska niedelikatność, że jak parę kubków wódki wypije (ona nawet była całkiem lekka, przetworzona, nie trzymała nawet próby), to zaraz jeden drugiemu do głowy lezie i obydwaj lubią się bić? Co Majorek temu winien? co żydkowi do tego, że sobie dwa katoliki biją? Całkiem nic.

Dość że był sąd, była sprawa i Majorek stanął przed pan sędzią. Jak on stanął, to mu się bardzo gorzko w sercu zrobiło, i o mały figiel nie zasłabnął. A pan sędzia pyta: jak to było?

A Majorek nie nie gada, tylko stoi i myśli, jakby mądry sposób, delikatne tłumaczenie z głowy wyciągnąć. Pan sędzia czekał chwilę, a później zaczął coraz grubszy głosem pytać, i do Majorka krzykać:

— Gadaj, jak to było!

Wtedy Majorek bardzo nisko schylił głowę na ukłon i powiedział:

— Przeświatły sędzio, ja nie nie widziałem!...

— Jakto nie widziałeś? kiedyś tam był—znów wołał sędzia.

— Nie nie widziałem, wielmożny pan sędzia!—mówił dalej cienkim głosem Majorek, — nie widziałem! Ja sobie spokojnie potrzebowałem siedzieć za szynkwasem i mądrą książkę Talmud czytać, a mój spółnik, niech on dalej z dyabłem spółkę prowadzi... paskudnik! on chłopom wódkę z półkwatekiem da-

wał. Przyszli te dwa pijaki i kazali sobie także dać... To on im także dał. Pierwszy wypił nieboszyk, później ten drugi zbój na wywrót do niego i zaczęli sobie trącać kieliszkiem. Wypili tak zgodnie kilka półkwatek... Później zaczęli sobie całować, zaczęli z nogami szurać i coraz głośniej do siebie gadać i koło szynkwasu skakać. To od tego skakania zrobił się taki gruby kurz, że ja, prześwietny sędzio, nie mogłem nic zobaczyć; a jak kurz opadł, zrobiło się jaśniej, to zobaczyłem, że jeden z nich na ziemi leżał i coś mokrego mu z głowy płynęło... Przypatrzyłem się lepiej, a mój spółnik powiada co to krew!

— Prawda, to była krew! czerwona krew! wtedy ja mówię do tego co leżał, bo ten drugi rabuśnik już uciekł i nie zapłacił: „Wstań i idź do domu“, a on nie chciał mnie słuchać, i dalej leżał, bo już był gotowy nieboszyk!...

— A który? którego zaczął bić pierwszej?—pytał znów pan sędzia.

— Żaden nie bił... z przeproszeniem jasnego sądu,—odpowiedział Majorek—żaden nie bił! ja przynajmniej nie słyszałem. Jak ja swojego Lejbusia kiedy jeszcze był mały uderzyłem... to on zaraz w niebogłos płakał... cienko lamentował, a z nich żaden wielebny sędzie! nie popłakiwał, to ja myślę, co żadnego bicia nie było, bo płacz przecie, to rzecz głośna i wszędzie ją słyszeć...

Majorek aż się spocił nad tak rozumną mową, ale w naszym sądzie to najmądrzejsze słowo nie nie znaczy, i sędzia kazał Majorkowi zrobić wyrok na sześć tygodni aresztu, za to co on pijanego niebosz-

czyka nie bronił! Jak miał bronić?... kiedy jemu samemu strach było!

Między dwa kłótne pijaki iść zgodę czynić, to nie zawsze bez bólu odejść można.

Majorek wysiedział swoje, chcieli mu nawet szynk zamknąć, ale się uprosił i od tego czasu on już nie chciał na wódkę patrzeć i wołał cały interes Chaimkowi, ciotecznemu bratu swojej żony, odstąpić.

To była druga trefna okoliczność w Koszerowie, a za nią już co tydzień spadało jakieś nieszczęście, jakiś smutek, albo żałoba na biedne żydki. Taki już czas nastał.

I z handlem i ze wszystkim coraz było gorzej. Szlachta nauczyła się od żydków robić bankrut, symulacyjną sprzedaż, żydki zaczęli spadać z hypoteki i zrobił się gwałt!

— Jak który szlachcic nie chciał płacić procent, to on zaraz sprzedał majątek, swoją wieś przez Towarzystwo swojej mamie, swojej żonie, albo krewniakom i zaraz robił z żydkiem układ. On przyrzekł płacić trzydzieści procent z góry, to teraz dawał tylko osiem z dołu... Czy kto słyszał taki interes?

Brać osiem procent, jak kto chciał brać trzydzieści to bardzo przykro jest.

Więc i żydkom było bardzo smutno na sercu, że szlachta wpadła na taki sposób i zrobiła się taka skąpa. A i ze zbożem nastąpiła wielka stagnacja, a Bismark z cłem zepsuł cały zielony handel. Zboże całkiem nie odchodziło i coraz gęstszy był trafunek co obywatel kontrakt złamał, termin wy-

późnił. Trzeba było kontrakta robić na stempel bo jak sprawa poszła przez sąd, to i ten co zboże nadał i kupiec, co dał pieniądze, zarówno karę płacili. Gdzie sprawiedliwość?!

Ruchla Tiulik, choć rabińska wnuczka, i to się nie mogła ustrzedz i kilka razy miała niedelikatny upadek z hypoteki, nieprzyjemny układ z obywatel ziemski na osiem procent. Na zbożu także dużo była stratna, a i z wełną zrobiła kiepską spekulację.

Bywało, przyjechała Ruchla za kupnem wełny między szlachtę, to każdy przysięgał, co ma takie miarony, takie elektryczne skopy, co jeden kamień wełny da, a jak przyszło oddać... to jednemu owce wyzdychały, drugiemu pan komornik za podatki sprzedał, a jeszcze inny, co miał mieć najwięcej wełny, to się całkiem nie ożenił!...

Naprzykrzył się już Ruchli taki harmider, taki kłam, chciała odpocząć. Zarzuciła cały handel, patrzyła tylko sklepu i pożyczala pieniędzy albo na fant, albo na podpisaną solidarność. Lejbuś właśnie skończył siedemnaście lat, sama pora do żeniaczki i Ruchla zarekowała go z córką Szmula z Kozienie i otworzyła mu skład z solą w Koszerowie, żeby młodzi po ślubie przyszli już do gotowego interesu. Ruchla już naprzód cieszyła swoje serce, jak będzie huśtała wnuczki; myślała nawet o kawalerze dla Ryfki, bo i ona już na mykwę potrzebowała ehadzić i inne słodkie myśli przychodziły jej do głowy, gdy przed samym ożenieniem Lejbusia zrobił się nowy gwałt w Koszerowie, największa

przykrość, co jak trucizna ugryzła w gardło Ruchlę Tiulik.

Obok jej kamienicy stał dom murowany jednego z dwustu koszerowskich łyków. Ruchla chciała go dawno kupić, ale kto z takim grundalem do końca trafi? Otóż w tym domu zaczęto robić reparaację, odnawiać izby i znosić różne paki ze stacyi. Żydki długo myśleli, co to będzie, ale dowiedzieć się nie mogli. Aż jednego rana ujrzeli nad drzwiami domu literami, jak wół wymalowany szyld: „Sklep spożywczy“, i wszyscy krzyknęli gwałt! I padł wielki strach na cały Koszerów.

Mały i duży, gruby i cienki, wszystko co żyło z handlu wyszło na rynek koszerowski i zaczęło ehadzić około sklepu, a co który przeczytał szyld: „Sklep spożywczy“ to splunął, a potem wszyscy zgodnie zawołali: „aj waj!“ i wołali tak po parę razy. To małe słówko, te dwa skromne słowa, a dużo znaczą. Kiedy prawdziwy żydek to słówko mówi, to z nim już jest źle, jemu musiała się za kołnierz wielka boleść nalać, znaczny ciężar na sercu sięść, bardzo smutny robak duszę gryźć; inaczej by on tego słówka nie powiedział.

To jest wielkie słowo! Lestes Wort!

W nim jest i płacz i żal i trochę gniewu, i kapka strachu i cała esencya bólu... Takiego słowa nie wolno byle kiedy powiedzieć, ale tylko w nagłej potrzebie, jak już innej rady niema, albo w prawdziwym strachu, bo ono jest najlepszą obroną; kto to słówko wypowie, to mu zaraz smutek folguje, strach mniejszym się robi, a rozumu, choćby kto i całkiem głupi był, do głowy bije. Trzeba tylko,

im większy strach, tem głośniej i z większą żałością wolać! Więc i koszerowskie kupcy bardzo żałościwie na różne głosy krzykali i widocznie musiało im to poskutkować, musiało lepiej im się zrobić, bo coraz cicho, coraz słabszem było wołanie, ustał jeden, drugi i trzeci i powoli ustali wszyscy i zrobiło się cicho, jakby makiem posypał. Pierwszy ból przeszedł i rozum zaczął bić do głowy. Zaczęli myśleć...

Różni ludzie, różnie myślą. Prosty chłop, grubijan, gdy mu ciężka myśl, okazały frasunek w pu-
sty leń bretnalem się wbije, będzie się po czuprynie bez obyczaju drapał i resztę rozumu brudnymi palcami po całej głowie rozgoni; szlachcie, pan, on w takim wypadku lubi chodzić, tupać i kłać. Kłęcie to także słowo, ale nie zawsze pomaga, czasem nawet na wywrót zaszkodzi, jeśli ono bardzo głośne: jeśli świadek pod ręką jest, to można z takiego interesu sąd o obelgi zrobić. Inna zupełnie rzecz, gdy kto nie mówi, tylko chodzi, brodę głaszcze, palec do głowy przykładła i po czole puka. To pukanie nie jest bez interesu. Wiadomo, jak kto w drzwi puka, to właściciel domu mu otworzy i albo wyjdzie sam do niego, albo go do stancyi poprosi. Kto w głowę puka, to mu się głowa otworzy, i przez ten otwór cały rozum wyjdzie na wierzch, a tego tylko potrzeba. Żydki koszerowskie zaczęły pukać, co trochę to inny przystanął, w ziemię popatrzył i znowu pukał. Pukali tak już dosyć długo. Nareszcie Judka Pomeraniec, co naftą, cukrem i smołą hurtownie handlował, stanął jak wkopany i zawołał: *Still!* Stanęli wszyscy, a Judka zaczął coś

cichym głosem, słodką żydowską mową, a obejrzał się przedtem naokół, czy kto niepotrzebny nie będzie słuchał, sekretnie mówić. Co on gadał, to napewno niewiadomo, jest w tem trochę sekretu. Dość, że parę razy słyhać było słowo: *fajer!* ogień! Ale inni kupcy zaczęli trząść głowami na wszystkie strony, widocznie niezupełnie przystali na radę Judki i mieli rację. Ogień bywa także w różnym gatunku, a zawsze prawie trudno go w porę zgasić. Czasem zapali się chamska stodoła, to jeszcze jemu mało, on przeskoczy zaraz na żydowski sklep i gotowe nieszczęście.

Tu żaden ratunek nie pomoże, a źli ludzie mogą zaszkodzić, głupie języki sprowadzą śledztwo i mogą nawet fajerkasy nie wypłacić i w kryminał wpuścić.

Herszla z Kozienic, jak się mu dom i ładne ruchomości, dwadzieścia pięć funtów samego pierza, spaliło, to chcieli do kryminału wpakować,

I tu i tam był ogień, ale nie każdy ma jednaki szczęście.

Lepiej takiego ryzykownego interesu nie próbować. Żydki koszerowskie zaczęły znowu chodzić, palcami pukać, aż raptem Szlamka, krawiec mężski i damski przystanął i głośno krzyknął: „cicho!“.

Wszyscy nadstawili uszu, co im takiego stary Szlamka powie:

Nie bardzo, co prawda, wierzyli w to, że on im co mądrego powie, oddawna bowiem wiedzieli, że stary Szlamka nie ma zbyt wydelikaczonego rozumu. On był nawet całkiem odmienny od innych żydków. Wprawdzie wszyscy panowie w okolicy

lubili go bardzo i nazywali: „pocziwy Szlamka“, ale u żydków to on się zwał „głupi Szlamka“.

Dlaczego on był oddawna głupi? odpowiedzieć łatwo.

On miał już bez mała osiemdziesiąt lat, kawał czasu, a jego nie rachowali więcej, jak na trzysta rubli majątku, a on powinien mieć co najmniej dziesięć razy tyle, bo miał do tego nie jedną okazyę.

Stary Szlamka, krawiec męzki i damski, robił ubiór wszystkim znacniejszym osobom na całą okolicę, nawet dla księdza kanonika, ale nie umiał koło interesu chodzić i pilnował tylko nożyce i igły, a do żadnego handlu, do nijakiej spekulacyi się nie brał...

I trzymał nawet dwóch katolickich czeladników u siebie i dobrze im płacił, tak, jakby żydowskich chłopców na świecie brakowało i tak się z nimi po polsku wprawil gadać, że i do żydków rzadko się inaczej odzywał, tak, jakby słodkiej, żydowskiej mowy nie lubił.

Kupcy koszerowskie nie bardzo ufali w rozum starego Szlamki, ale pomyśleli sobie, że może na stare lata zmądrzał, że mu długie pukanie po czole pomogło, przystanęli i zwrócili słuch na jego mowę.

A stary Szlama zaczął gadać po polsku:

— Będzie temu lat dwadzieścia z okładem, ja byłem wtedy jeszcze młodym, zdrowym, oczy mnie jeszcze nie bolewały, sprowadził się do naszego miasteczka krawiec, katolik, Tużurkiewicz. Zawiesił nad swoim mieszkaniem bardzo ładny szyld, jak dziś pamiętam: „Krawiec męzki z Warszawy“.

Wszyscy znajomi mi mówili, ja sam nawet tak myślałem, że będzie ze mną źle, że teraz nikt u mnie ubierać się nie zechce. I zrobiło mi się markotno...

Miałem jeszcze drobne dzieci, wnuków kilkoro, a wszystko to żyło zapracowanym przezemnie kawałkiem chleba, a teraz?... I smutne myśli przychodziły mi do głowy.

Ale pomyślałem sobie, że Bóg jest wielki, on pamięta o każdym stworzeniu! że Bóg jest jeden, więc ten sam Bóg stworzył katolika, co i Niemca, lub żydka i dla każdego pracę, zarobek i utrzymanie obmyślił.

Powiedziano jest w Piśmie: „Módl się i pracuj!“ a z pracą i zarobkiem jest tak, jak z jagodami w lesie... Każdemu wolno zbierać, a kto lepiej umie szukać, ten więcej znajdzie...

I zrobiło mi się lżej na sercu, westchnąłem gorąco do Ojca wszech ludzi, do Pana światów Jehowy, nie opuściłem rąk, lecz jeszcze gorliwiej wziąłem się do pracy... Módl się i pracuj powtarzałem sobie...

Tu stary Szlamka przystanął, pogładził białą jak mleko brodę, rzucił zażawionym okiem na swych współwyznawców i z bólem serca widział, jak oni, włożywszy ręce w kieszeń, z drwiącym uśmiechem słuchali słów jego.

Odetchnął i mówił dalej...

— Zrazu ten i ów dał robotę lub zrobił obstalunek u Tużurkiewicza, ale i ja miałem chwałę Bogu mimo to żyć z czego. Mniej było, ale było. I gdyby Tużurkiewicz był dobrym majstrem, musiałoby i tak być, zarobek byłby podzielony.

Ale Tużurkiewicz był fuszer i pijak, terminu się nie trzymał, jak obiecał za tydzień, to oddał w miesiąc robotę, nie wykończył należycie, więc ludzie przekonali się, że u starego Szlamki i krój, i fason i materyał lepszy, że robota uczciwsza, że jak ja powiem słowo, to w nocy przysiedzę, a terminu dotrzymam i powoli wszyscy wrócili do mnie.

Powiem nawet więcej, na tem sprowadzeniu się Tużurkiewicza zyskałem, bo starałem się robotę jeszcze lepiej wykończyć, gustowniej odrobić, niż przedtem.

Tak. Każdy interes jest jak suknia, przenicować go na drugą stronę, to z najgorszego gałgana można pożądny tużurek zrobić. Założyli katolicki sklep, z początku może być i źle, ale trudno, im żyć potrzeba, ale później to ten będzie handlował, kto będzie umiał handlować, ten będzie sprzedawał, kto lepszy da towar, rzetelniejszą miarę i wagę, kto ochotniej kupującemu usłuży, żydek, to żydek, a katolik, to katolik.

Jeżeli katolik źle będzie handlował, to niedługo upadnie, zbankrutuje jak Tużurkiewicz, a wy róbcie tak, jak stary Szlamka mówi, to nie zbankrutujecie nigdy! Bóg jest jeden, a wszyscyśmy Jego dzieci...

Co tu gadać na takie głupie mowe! Żeby był stary Szlamka trafił na inny mniej delikatny naród, toby mu i skończyć nie dali, ale koszerowskie kupcy wysłuchali, choć im nie w smak szło, całej oracyi do końca i... zaczęli spluwać! Ktoby nie splunął? A potem, gdy już całą złość, wszystko niezadowolnienie z śliną na ulicę wyleli, Lejzer Gło-

wacz, co szose w całym powiecie (rarytny interes) trzymał, machnął obydwoma rękami z góry do dołu i zawołał: „gaj a Ruchla Tiulik“!

Na te słowa powstał wielki krzyk w całej gromadzie i wszyscy jak jeden człowiek poszli do mieszkania Ruchli na naradę. Poszedł i Szlamka za nimi, ale o dziesięć kroków w tył.

Ruchla o całym wypadku, o tem nieszczęściu nie nie wiedziała, ona była cały miesiąc w podróży z synem i córką. Podobno jeździła oglądać kawalera dla Ryfki. Właśnie dopiero co wróciła późno w noc, była nawet trochę słaba, zwyczajna kobieca słabość, więc Majorek, choć miał ochotę wszystko opowiedzieć, ale prawdę mówiąc to on się jej bał i wolał trzymać do czasu sekret. Jedno, że taka zła wiadomość, takie trefne zdarzenie mogło ją o jeszcze większą słabość przyprowadzić, a przytem Ruchla kończyła już pięćdziesiąt lat, to jest najgorszy wiek dla kobiet, najgorsze chwile. Ona mogła się zmartwić i w złość popaść, a Majorek dobrze wiedział, że jak Ruchla jest gniewna, to od niej wszystek świat, jak oparzony ucieka, i dlatego on się bał powiedzieć, wolał, żeby to inne usta zrobiły.

Kiedy kupcy koszerowskie weszli hurtem do stancyi, Ruchla leżała sobie spokojnie pod pierzynką, na dwóch puchowych poduszkach. Weszli, pozdrowili Ruchlę z podróży i zaraz stary Lejzor opowiedział całą fatalność ze sklepem.

Zrazu Ruchla słuchała i słuchała tak jakby całego interesu dobrze zrozumieć nie mogła. Nie

dziwnego! jakby jej kto zaczął opowiadać, że mysz łapie koty, niemniejsza dziwność być mogła!

Nagle, jakby ją kto szpilką ukłuł, wyskoknęła z łóżka: tylko sobie z dołu owinęła pierzynką i stanęła na środku izby.

Kupcy koszerowskie rozstąpili się, nie dlatego, żeby im wstydno było niewytualetowanej kobiety, ale przez zwyczajną delikatność husyckiej natury. Oni widzieli, co u Ruchli oczy z żalu dwa razy większe się zrobiły, a ręce zwinęły się w kulak, jak do bicia.

I stała tak chwilkę w miejscu, jak żona Lota w solny słup zmieniona, a cichość w całej stancyi była wielka, nikt nie śmiał słówka pisnąć.

Później, jak na komendę, Ruchla, a za nią wszyscy obecni zawołali wielkim głosem: aj! waj!

I zaraz ulga weszła w piersi, gorycz rozplynęła się w sercu i już spokojniej zaczęli mówić o interesie. Zrazu Ruchla mówiła na stojąco, ale jak się jej naprzykrzyło, to wróciła nazad z pierzynką do łóżka, a cała gromada otoczyła ją wiankiem i radzili... radzili hola! w noc.

Co uradzili, to niewiadomo, bo dali sobie chejrym na sekret.

Na to tylko pewnośc jest, że w parę dni później Ruchla puściła się w objazd po okolicy i wszystkiej szlachcie, co do sklepu spożywczego (bodajby się zapadł) po towar posyłała, wymówiła swoje pieniądze. Ona powiedziała, co dłużej nie czeka i niejednemu z komornikiem dobrze dokuczyła.

Parę razy zdarzyło się także, co towar ze stacyi, wysyłany dla katolickiego handlu, ktoś zepsuł, naftą polał, dziury w workach ze solą porobił. Sklep miał niemałą stratę. Mówili na żydków... ale gdzie świadek?

Później kupcy koszerowskie zaczęli robić w inny sposób konkurencyę. Bywało każdemu posłańcowi ze dworu po sprawunek dadzą to paczkę papierosów, to kieliszek słodkiej wódki, to łokieć wstążki dla żony, byle tylko do nich po towar wstąpił. Ale i to nie pomogło. Wtedy zrobili „nowe funty“.

Bywało funt świec w katolickim sklepie kosztuje dwadzieścia pięć kopiejek, to w żydowskim sklepie taki sam funt z etykietą kosztuje dwadzieścia dwie kopiejki, — i z innym towarem taki sam był kawałek dyferencyi w cenie.

Dlaczego?

Oni obstalowali w fabrykach funty po dwadzieścia osiem łutów, chociaż więc stało napisane na etykietce: jeden funt, to i tak mieli duży zarobek, a głupi goj cieszył się co tanio kupił.

I kto wie czyby się katolikom nie naprzykrzył interes ze sklepem, gdyby Ruchla Tiulik dłużej żyła. Ale w rok jakoś po Lejbusiowem weselu, na samą Wielkanoc, siedziała sobie na krzesło, ciepło już było przed kamienicą. Był to najlepszy czas na targowanie dla sklepów. Na święta, byle cham i to coś utargować da. Jak zobaczyła, co cały tłum ludzi, jeden po drugim, jak owce cisną się do „Sklepu spożywczego” po sprawunek, a do żydowskich, porządných handli nikt prawie nie zaszedł,

jak obliczyła ile to pieniędzy, ile profitu po inne lata miała, tak zrobiło jej się słabo, gorzko, wpadła w niestrawność, jakby od strefionej gęsinie, i choć doktory i ratunek wielki był, na trzeci dzień zmarła...

Lament był wielki w całym Koszerowie!

Jaki pogrzeb paradny miała i opisywać nie potrzeba. Dość powiedzieć, że zjechał na pochówek rabi z Kozienic i miał mowę, jaką mowę! W całości trudno ją powtórzyć, ale z kilku słów, wymiarkować można, co za słodycz była w jego słowach.

On powiedział tak: „Jehowa sześć dni pracuje, a w siódmym czyta Talmud i płacze i wzdycha, że pozwolił zburzyć Jeruzalem, teraz jemu przybył nowy kłopot, nowe zmartwienie. On w kaźden sabbat płakać i lamentować będzie, że dopuścił popsuć żydkom handel, że pozwolił założyć „Sklep spożywczy“ (tu rabin splunął głośno), bo przez to zawcześnie zmarła Ruchla Tiulik“...!

.....

W jakiś czas po śmierci Buchli, Majorek z Ryfką i ożeniony już Lejbuś zwinęli sklep, zabrali gotowiznę, posprzedawali wszystkie nieruchomości w Koszerowie, zarzucili cały handel i kupili sobie na licytacyi wieś.

Zrobili się obywatele ziemskie, pany całą gębą.

Lejbuś Tiulik, choć miał delikatny rozum, ale wiedział, że do roli to trzeba osobnego specjalisty, on przyjął sobie „pan rządca“.

On jemu suto wynagrodził, pozwolił nawet, choć tego nie było w kontrakcie, trzymać gęsi ile chce, bez wygnania na zieloną paszę. Zrobił łaskę!

I z chłopem i służbą umiał się obchodzić. Jak który pastuch, fornał był grzeczny, mówił „wielmożny panie, wielmożny dziedzicu“, to mu dał lepszy, większy kawałek roli pod kartofle, ale dla grubian, dla grundali znalazła się kara. Nie wydał ordynaryi, nie zapłacił pensyi, to takiemu pyskatemu zaraz gęba zmalęła, delikatność wróciła.

Dał mu Pan Bóg pierwszego synka, Chaimka, z tego to już będzie cały obywatel, nie *Tiulik*, ale *Tiuliński*. Niedługo na to czekać. On już na kucyku jeździ, ma także fuzijkę co nie strzela, a wszyscy chłopi we wsi mówią mu *jasnie paniczu!* Lejbuś się cieszy, bo wie, że choć on z *Tiulika* w *Tiulińskiego* się zmienił, to delikatnej żydowskiej natury nie zatraci. Choćby sobie nawet ochrzcił (może mu taki interes wypaść), to i tak żydkiem zostanie.

.....

W Koszerowie *sklep spożywczy* rozwija się do brze, choć żaden żydek za grosz utargować mu nie da.

Jeden tylko stary Szlamka, krawiec, wszystko w katolickim sklepie bierze. Rabin za to go wykłął; obiecał go na kierkucie nie pochować. Ale Szlamka śmiał się z tego (paskudnik), on powiedział co mu wszystko jedno.

Niedługo przekonał się, co to nie był śmiech. Umarł — i pochowali go w prostym dole pod kierkutem.

Mogilkę starego krawca porósł dziki rozchodnik i macierzanka, a jakaś litościwa ręka postawiła na niej tablicę z wrytem po polsku *Dziesięcioro*.

I dziś jeszcze pod Koszerowem widzieć można mogilę po za obrębem kierkutu, a na kamiennej tablicy widnieje pół zatarty napis: *kochaj bliźniego swego...* To jedyna pamiątka na grobie starożyda.

MÓJ GOSPODARZ.

Z pamiętników literata.

Od czasu jak przestałem żyć z własnych funduszów, a wziąłem się do literatury, nie mogę jakoś dobrać sobie mieszkania. Najkrótszej noweli nie zdołałem ukończyć w jednym i tem samym.

Bohaterowie i bohaterki moich utworów poznawali się w jednym, a rozłączali już na drugim lokalu. Czasem dogorywającego starca wypadało mi przeprowadzić z Nowego Świata na Kruczą, Piękną lub dalej nawet; niekiedy młode małżeństwo każdy z miodowych miesięcy przepędzało w innej dzielnicy Warszawy.

Prostu nie miałem szczęścia do właścicieli domów. Już przy meldunkach krzywili się na „rodzaj“ mego „zajęcia“, zdradzając chęć do zwrotu pobranego zadatku.

Później bywało jeszcze gorzej, zwłaszcza każdego ósmego dnia miesiąca.

Mam swoje zasady, od których odstępować nie lubię. Niedorzeczne prawa obyczajowe gniewały mnie zawsze, a płacenie z „góry“ uważałem za ujmę godności. Kto płaci z góry, temu widać nie wierzą, a niewiara ubliża.

Opierałem się też, w miarę sił, nadużyciom gospodarzy, którzy po większej części innego by-

wali zdania. Zwykle przychodziło do ostrej wymiany myśli między nami, a starcia kończyły się interwencją władz sądowych, o ile sam z pomocą tragarzy nie przeniosłem Larów i Penatów do świeżo upatrzonego gniazdka.

Po upływie miesiąca powtarzała się kubek w kubek ta sama historia, gdyż wszędzie natrafiałem na zacofaną rutynę, obyczaj zakorzeniony, tradycję, który zapewne dlatego kończył się tradowaniem.

Przyszło do tego, że tragarze z placu św. Aleksandra i woźny sądowy witali mnie protekeyonalnym ukłonem, jako dobrego znajomego.

Ale wszystko ma swój koniec.

Naprzykrzyła mi się wreszcie walka z przesądem. Postanowiłem uleść twardej konieczności.

Po tem moralnem Waterloo, wyruszyłem na poszukiwanie takiego lokalu, w którym mógłbym nieco dłużej przemieszkać. Mieszkań było w bród.

Ale czy moja osoba nie budziła zaufania, czy też rzeczywiście nieszczęśliwie trafiałem, dość, że nic odpowiedniego nie znalazłem.

Dostałem już niebieskiego daltonizmu z czytania wywieszanych kart wynajmu, gdy przed jedną z kamienic na Nowym Świecie zaczepia mnie stróż:

— Czy pan szuka mieszkania?

— Szukam.

— U nas są bardzo eleganckie pokoje z wygodami.

Zachęcony, rzucam okiem na żelazną tabliczkę, aby się o nazwisku właściciela dowiedzieć.

Nazwisko kończyło się na „um“, co mnie niezmiernie ucieszyło. Z doświadczenia wiedziałem, że z osobnikami o takiej końcówce łatwiej przyjść do ładu, nie obcą im jest bowiem teoria i praktyka kredytu, czego w różnych skich lub iezach podziwiać nie można.

Spojrzałem jeszcze na numer domu. Jestem przesądny, a, mając do wyboru między cetnem a lichem, zawsze przekładałem pierwsze. Numer był parzysty. Wszystko zatem składało się dobrze.

Jaknajlepiej usposobiony wszedłem do sieni, pełnej fresków i ozdób gipsowych, dla dopełnienia ostatecznego przeglądu.

Rozpocząłem od przejrzenia listy lokatorów.

Lista lokatorów, to poniekąd sprawdzian charakteru gospodarza.

Naprzykład właściciele domów, w których „nie wolno trzymać psów i dzieci“, są stanowczo ludźmi bez serca, nieczuлыми na ludzką niedolę, ściągającymi komorne z całą surowością, a, co najgorzej o nich świadczy, w większości wypadków zawierają kontrakty piśmienne, w dodatku na kwartał?

Mój gospodarz, o ile z listy wymiarkowałem, do takich nie należał.

Stróż w dalszym ciągu zachwalał:

— U nas same porządne lokatory mieszkają.

Ja czytałem:

„Chryzostom Bemolski — stroiciel fortepianów; Agaton Łyzka, Hipolit Kamizelka — zakład froter-ski; Julja Brylantowicz — staniczarka; Michał vel Mowsza Amerykański — agent handlowy; Izidor Per-fumer — ezł. tow. sub. h. w. m.; Felicja Budnik—

utrzymująca magle; Artur Wąsikowski—fryzjer; Jan Szypułka — szewc. Prócz tego dwóch dentystów i kilka jeszcze osób z „własnych funduszków”, przeważaie płci żeńskiej.

Czytałem z lubością. W takim towarzystwie dla jednego literata znajdzie się miejsce.

Skinąłem na stróża i, wsuwając mu dyskę, rzekłem:

— Chciałbym pokój z przedpokojem, ale zaraz. Macie?

— Właśnie... Wczorajszej nocy jeszcze uciekł...

Ugryzł się w język sądząc, iż się niepotrzebnie wygadał i poprawił:

— To jest chciałem pedzieć... wyprowadził się, po dobrej woli.

— W to mi graj—pomyślałem—Prowadź!

Byłem już stanowczo przygotowany wziąć lokal. Ucieczka poprzednika nie zraziła mnie bynajmniej. Przeciwnie, uznałem ją za wielce przyjazny prejudykat na przyszłość.

Pokoik miał pięć łokci długości—cztery wysokości, szerokość zaś podwójną. W jednym końcu od drzwi znacznie węższy, w drugim zato rozszerzał się, tworząc figurę trapezu.

W przedpokoju mogło się wygodnie pomieścić dwóch handelesów.

Nie rozpatrywałem się długo, nie chodziło mi o komfort, tylko o przyjemne stosunki, a te się spodziewałem znaleźć.

Dałem stróżowi drugą dyskę i, nie pytając o cenę, jako o kwestyę drugorzędnej wagi, ruszyłem do gospodarza.

Przyjął mnie, siedząc w fotelu „empire”, przy zarzuconym papierami stoliku w stylu „odrodzenia”.

Przyjrzałem mu się bacznie. Rysy odpowiadały nazwisku. Z pod tureckiego fezu zwieszały się około dość okazałych uszu dwa loczkowate pasemka siwiejących włosów; potężny nos zdobiły binokle w złotej oprawie, a całą postać kryła przekształcona na szlafrok węgierka z myśliwskimi wyłogami.

— Pan... um?—spytałem.

— Ja—odpowiedział, nie podnosząc się z fotelu.

— Jestem... ski.

— Czego pan sobie życzy?

— Chciałbym wynająć pokój z przedpo...

— Niech pan siada—przerwał, wskazując na starą „gdańską” kanapę.

— Pan już oglądał?

— Oglądałem...

— Wygodny... suchy lokal... z wszelkimi dodatkami. O parę kroków w podwórzu jest... dookończył szeptem.—Do „Dyany” na Chmielną także niedaleko. Pan lubi kąpiel?

— Rozumie się.

— Ja także. Właśnie wróciłem z Karlsbadu.

— Posłużył?—spytałem grzecznie.

Pokręcił głową..

— Widzi pan... niezupełnie. Tam byłem zdrowy, ale z powrotem na granicy mnie przestraszyli, a ja jestem nerwowy...

Powstrzymałem śmiech i, dla uniknięcia dalszego ciągu zwierzeń kuracyjnych, przystąpiłem do interesu.

Powiedział cenę, zachwalając ponownie lokal. Dla zwyczaju potargowałem się nieco. Nie chciał ustąpić ani grosza.

— Niech się pan nie targuje—odpowiadał na moje uwagi.—Taki lokal! za takie pieniądze! w środku miasta, na pryncypalnej ulicy... Pan myśli, że ja biorę dużo?... słowo honoru nie! Panowie nie macie pojęcia, co teraz dom w Warszawie kosztuje. Wszystko podrożało... plany... wapno... robotnik... a cegła jak pieprz!... Przytem bywają paskudne wypadki...

— Wypadki?—przerwałem pytająco.

— Czasem to szelmy budowniki zrobią zły wymiar, dadzą w wapno za dużo piasku i ściana... pęknie—dokończył ciszej, oglądając się na wszystkie strony.

— Nie może być — wtrąciłem, aby coś powiedzieć.

— Jakto nie może być! Ja sam miałem takie zdarzenie—podechwycił z odcieniem oburzenia.—W tej czteropiętrowej oficynie co pan widzi—ukazał przez okno—musiałem jedną ścianę dubelt stawiać.

Udałem, że nie pojmuję. Opowiadał mi szczegółowo historię popękania murów (z przyczyn od niego niezależnych), kłopoty z tego powodu wynikłe, koszta.

Ubolewałem, potakując.

On zaś, powtarzając jedno i toż samo, zakończył wreszcie:

— Co mnie ten wipadek kosztował... strach! Jedna ściana zepsuła reputację na cały dom. Westchnął.

Nie miałem serca trapić go dłużej przetargiem. Pomacałem się po kieszeni.

— Cóż? zgoda?—spytał.

— Cóż zrobić!—zgodziłem się.

Wydobyłem pugilares. Na szczęście byłem przy gotówce. Świeżo wypłacono mi honorarium za artykuł: „O mieszkaniach kawalerskich w Warszawie“.

— Nie w naturze nie ginie—pomyślałem i zacząłem liczyć z bólem serca.

Pierwszy raz w życiu płaciłem, z „góry“.

Gospodarz zasiadł do pisania kwitu.

— Pańskie nazwisko?—spytał powtórnie.

— ...ski.

— Znałem ...skich zaczął, przerywając pisanie.

— Mnie również nazwisko pana nie obce—odwzajemniłem się.

Rzeczywiście przypomniało mi się, że miałem w szkole kolegę ... uma, a i pachciarz mego ojca podobnie się nazywał...

Pochlebilo to gospodarzowi, bo, odłożywszy pióro, z widocznym zadowoleniem przemówił:

— Nasza rodzina jest bardzo znaczna. Mój brat handluje drzewem, stryj jest dostawcą dla kolei, a Mojżesz, ... um wziął reperacye na wszystkie szosy w gubernii. Pan może znał którego?

— O niechybnie!

— Może tego z kolei?—dopytywał.

— To, to, to ...—potwierdziłem na chybił trafił.

— Pan może kolejarz—zapytał teraz.

Zaprzeczyłem.

— To czem się pan trudni?—zagadnął.

— Ja? ja...

Zachłysnąłem się. Miałem już „literat“ na końcu języka, lecz powstrzymałem się w porę. Błyskawicą przebiegło mi przez myśl, że tranzakcyja mogłaby nie przyjść do skutku. Miałem już podobne wypadki. Przeszłość nauczyła mnie rozumu.

Postanowiłem obrać sobie na podorędziu inny zawód. Ale jaki?

Gospodarz obrzucał mnie przenikliwym wzrokiem.

— Czy to sekret?—spytał wreszcie.

Mnie jak na złość nie przychodziło nic do głowy.

— Czy to tajemnica?—ponowił pytanie.

— Ależ nie! nie! — pospieszyłem z zaprzeczeniem—tylko widzi pan...—jąkałem, nie umiem tego dobrze określić...

— Przecie...

— Ja, widzi pan, tak niby... i to i owo... załatwiam różne interesa.

— To pan pośrednik—podał.

— Tak... tak... oczywiście... pośrednik — potwierdziłem co żywiej.

Uśmiechnął się.

— Trzeba było odrazu powiedzieć. W tem przecie niema wstydu. Pan może i domami faktoruje?—zagadnął tonem wielkiego zaciekawienia.

Nie wypadalo już się cofać, więc potaknąłem gorąco:

— A jakże i domami i wsiami. Mam duże stosunki.

Porwał się z fotelu „empire“ na równe nogi i, podbiegłszy ku mnie, jął z ożywieniem wykrzykiwać:

— Pan ma stosunki... to bardzo ładnie! to bardzo pięknie!

A po chwili, ujmując mnie za rękę, dodał:

— Ja nawet dla pana będę miał jeden fejn interes... Można ładny grosz zarobić! Pogadamy o tem później, jak się pan wprowadzi, jak się lepiej poznamy—zakończył.

I poznaliśmy się lepiej niebawem.

Mój nowy gospodarz, sześćdziesiąty z kolei, (od lat pięciu osiedliłem się w Warszawie), lubił spacerować po podwórku, na które wychodziło moje okno. Zamienialiśmy wzajemne ukłony.

Pewnego dnia, a było to bez mała w trzy tygodnie po wprowadzeniu, gospodarz złożył mi z samego rana wizytę.

— Przyszedłem pogadać o interesie — zaczął na wstępie.

Poprosiłem, żeby usiadł, sam również, zakrywszy starannie ślad rozpoczętej pracy literackiej, przysiadłem na łóżku.

— Widzi pan—przemówił po chwili namysłu— ja chciałbym już odpocząć... ja jestem miękiego serca, ja nie lubię sądów, kłopotów... ja chciałbym ten dom sprzedać.

Zamilkł.

Zapomniawszy na śmierć o przybranej godności pośrednika, spytałem.

— Bardzo pięknie. Ale w czymże ja mogę być panu pomocnym?

Zrobił wielkie oczy.

— Jakto wczem? Pan ma stosunki... pan jest pośrednik, a pan się pyta: w czem? Pan się może boi? Pan może myśli, że ja jestem skąpy człowiek? Właśnie, że nie! Niech się pan kogo chce spyta o... uma. Ludzie mnie znają.

Całą tę tyradę wygłosił jednym tchem prawie.

Ja przez ten czas, ochłonawszy, wszedłem już w skórę pośrednika. Przypomniało mi się... ósmy za pasem, kto wie czy gospodarz nie zrobi jakiego ustępstwa... prolongaty...

— Sprobujmy go wziąć na interes—pomyślałem—w każdym razie nie na tem nie stracę.

Nastroiłem się odpowiednio, on zaś mówił w dalszym ciągu:

— Niech pan nie myśli, że ja będę żałował za fatygę... dam jeden... dam półtora procent! Czy pan wie, co to wyniesie? Parę ładnych tysięcy! Z tem można się samemu wziąć do handlu!

— Sprobuję—bąknąłem.

— Półtora procent—powtórzył z naciskiem—wyciągając rękę.

Przybiłem.

— Teraz mogę być z panem otwartym. Widzi pan takiego domu jak ten drugiego niema w całej Warszawie—zaczął, poczem, wyliczywszy wszystkie zalety, od suterenu do strychu, dodał ciszej:

— Ale ta popękana ściana narobiła dużo hałasu...

— Nawet w dziennikach pisano — wtrąciłem nawiasowo.

Splunął i, spoehmurniawszy, ciągnął:

— Te gazeciarze paskudny naród! Po co taką fałszywość wypisywać. Był wypadek, ale przecież nikogo nie zabiło. A teraz ściana jest dubelt.

— Swoją drogą... zacząłem.

— Ja wiem! ja wiem! Ale jak kto potrzebuje kupić, to na taką bagatelkę nie będzie zważał—przerwał mi żywo.—Dom niesie ładny dochód... teraz dobry czas na domy.

— Oj, dobry!—pomyślałem w duchu, a głośno spytałem:

— Ileż ten dom panu czyni?

Spojrzał z pod oka.

— Ile? Ja nie chcę kłamać. Pan przecie nie jest komisya z magistratu. Zresztą w interesie potrzeba wszystko wiedzieć.

Potaknąłem skinieniem.

Wydobył z kieszeni zwitek papieru i zaczął liczyć pod nosem.

Wreszcie wymienił cyfrę.

— Aż tyle!—wykrzyknąłem z podziwem.

— Drugi jeszcze więcej wyciągnie. Pan mnie zna... Ja jestem delikatny, mięki... Na każdym lokalu można dwadzieścia procent podnieść—wyłuszczył zachęcająco.

— Miła perspektywa!—pomyślałem.

— To jest interes — zachwalał gospodarz— a i druga strona powinna także dać.

— Wszystko to bardzo pięknie—zacząłem—ale ja jestem obecnie zajęty, a na to potrzeba czasu.

— Czasu? Zapewne, ale zarobek duży.

— Tymczasem wolę mały, ale prędko. Mam

wydatki... ósmy zapasem — natracilem, spoglądając na mego słuchacza.

— To głupstwo! ósmy głupstwo! Niech pana o ósmego głowa nie boli. Ja poczekam... nie pilnego.

Skloniłem się wdzięcznie.

— Chyba, że tak... W takim razie postaram się.

Fortel się udał. Przeszedł ósmy, dziesiąty, piętnasty; gospodarz nie wspomniał o komornem. Dociągnąłem tak do chwili, w której kapło coś grosza.

Zapłaciłem część długu.

— Czemu się pan tak śpieszy? — przemówił grzecznie.

— I tak zalegałem dość długo.

— Nic nie szkodzi. Co słyhać z naszym interesem?

— Mam już upatrzonego kupca — rzekłem, śmiejąc się w duchu.

— Czemu pan się tai? Ja potrzebuję wiedzieć. Ja się potrzebuję przygotować — wykrzyknął, zacierając ręce.

Jakoż od następnego rana zaczęły się *przygotowania*.

Od świtu kilku mularzy bielilo mury, brukarz naprawiał chodnik, żyd malarz olejną farbą pociągał futryny okien i odrzwia.

Trwało to dni parę. Gospodarz przy spotkaniu pytał „kiedy?” ja zaś, rzecz prosta, odpowiadałem wymijająco, odwołując ile możności.

Znowu upłynęło dni kilka. Zbliżał się drugi

ósmy, a ja pieniędzy nie miałem. Gospodarz naga-
bywał o kupca coraz natarczywiej.

Chwila była krytyczna; należało koniecznie coś przedsięwziąć dla zabezpieczenia dachu nad głową. O prawdziwym kupcu nie mogło być mowy.

Nałamałem sobie głowy, zanim nasunął mi się szczęśliwy pomysł.

Miałem dobrego znajomego, Wicia, chłopaka ze złotem sercem, jedyne do psich figlów, zasad podobnych moim, a wyglądającego z miny na angielskiego lorda, choć goły był, co się zowie.

Było to akurat feralnego (według obliczeń lokatorów, nie Falba) dnia. Wstałem rano i wymknąłem się z domu niepostrzeżenie. Na ulicach było jeszcze pusto, ludzie snuli się rzadko, dorożek prawie nie było, tylko wozy piekarskie dudniły głucho, rozsiewając przyjemną woń świeżego pieczywa.

Dopiero otwierano pomniejszych sklepiki. Przed jednym stał Wicio, émiąc świeżo kupionego papierosa.

— Cóż tu robisz o tej porze? Z Sielanki? he? — spytałem, podszedłszy.

Machnął ręką.

— Dyabła tam! Drapnąłem przed gospodarzem. Dziś ósmy, a jestem bez grosza, odrzekł.—A ty? — spytał.

Roześmiałem się.

— I mnie coś podobnego nakazało oglądać wschód słońca.—Westchnął.

— Niema to jak mieć własną chałupę.

Na te słowa mnie genialna myśl strzeliła do głowy.

— Wiesz co, Wiciu?—odezwałem się, tłumiąc śmiech—kup sobie dom, sprzedam ci...

— Czyś ty sfiksował? Ty i dom!... Ja i dom!.. Parsknąłem śmiechem.

— To też to będzie fikcyjne kupno i fikcyjna sprzedaż. Posłuchaj.

Opowiedziałem mu pokrótce o co idzie. Wstąpiliśmy na kawę, potem do gospodarza.

Spał jeszcze. Kazałem go obudzić.

Wypadł niebawem do nas w węgierce z myśliwskimi wylogami. Zaprosił do siebie, usadowił na kanapie i poczęstował jakimś odwarem rodzynków.

Zagałęm pertraktacye. Kupiec spisywał się dzielnie. Wypytywał się o szczegóły, o rozmiary pojedynczych mieszkań, przeglądał rachunki. Poczem wszyscy trzej wyszliśmy na drabiazgowy przegląd domu.

Wicio nie żałował fatygi. Oglądał piwnice, badał grubość murów, trwałość posadzek, tu zgañił, tu pochwalił, słowem zachowywał się jak prawdziwy, żądny kupna nabywca.

Gospodarz był w siódmym niebie. Po odejściu Wicia pochwycił mnie za ręce, uścisnął, pytając natarczywie:

— Jak pan myśli? Będzie co z tego?

— Powinno. Nabasowałem mu.

— Jak interes przyjdzie do skutku, to ja jeszcze dołożę panu prezent... moje meble.

— Jakież?

— No! moje! Co pan myśli! to są antyki! chrześcijańskiej roboty, nie żadna fuszerka.

Podziękowałem za obietnicę.

I znowu miałem czas pewien spokój.

Gospodarz dopytywał się wprawdzie, ale chociaż pseudo-kupiec nie pokazywał się wcale, umiałem mu wytłomaczyć zwłokę potrzebą zebrania odpowiednich funduszów.

Dla przyspieszenia transakcyi zaofiarował się zostawić znaczną część szacunku na pierwszej hipotece.

Zakomunikowałem o tem kupcowi, ten jednakże odrzucił ofertę, nie chcąc mieć z zasady żadnych długów.

— Człowiek solidny nie lubi pożyczek—tłumaczyłem gospodarzowi. Poczekajmy.

I czekaliśmy obaj. Gospodarz na kupca i na przynależne odemnie pieniądze — ja... albo ja wiem na co?

Upływał dzień za dniem, kupca nie było widać, gospodarz widocznie zaczynał coś podejrzyc, bo kłaniał mi się mniej grzecznie; często też zaglądał przez okno do mego pokoju, kręcąc znacząco głową na widok porozrzucanych na stolku papierów.

Wreszcie pewnego dnia (również przed ósmym) natarł na mnie z wymownym gestem niezadowolenia...

— Pański kupiec musiał wyjechać gdzieś bardzo daleko?

— Zgadłeś pan — odrzekłem niezmiyszany.— Żeni się na Ukrainie.

Skrzywił się gospodarz.

— Niema zresztą czego żałować. Powiem panu otwarcie, ktoś nam popsuł interes.

Wytrzeszczył oczy.

— Upewniam pana. Pan ...ski (wymieniłem przekręcone nazwisko Wicia), odebrał aż trzy anonimy odradzające kupno pańskiego domu. Jakiś gałgan napisał o...

— O ścianie!—dokończył domyślnie.

— Tak jest. Wobec czego pan ...ski cofnął się. Gospodarz zmarszczył brwi.

— Ja zawsze mówiłem, że to będzie słaba strona przy sprzedaży—westchnął.

— Z pewnością, gdyby nie to, skończylibyście panowie w dwóch słowach.

Zaczął szukać po kieszeniach.

Odgadłem, że poszukuje mego rachunku za za-
ległe komorne.

Periculum in mora! Postanowiłem bądź co
bądź zażegnać burzę. Nie tracąc fantazyi, przystą-
piłem do gospodarza i rozpocząłem nanowo:

— Niema tego złego, coby na dobre nie wy-
szło. Mamy coś lepszego...

— Cóż takiego?—podchwycił żywo.

— Zamianę. Majątek z lasem bez serwitutu.
Obywatel stary... dla edukacyi wnuków chce mie-
szkać z Warszawie—kłamałem jak z nut, byle parę
dni zwłoki uzyskać.

Udało się i tym razem, fatalny ósmy minął.
Aż wreszcie licho nadało listonosza.

Mnie podtenczas w domu nie było. Stróż przez
pomyłkę oddał list gospodarzowi.

I—*casus paskudeus...*

Adres brzmiał: Wielmożny ...ski literat.

„Literat“ było podkreślone dwukrotnie.

Wieczorem, spokojny na duchu, wracam do
mojego gniazdka.

Wpada gospodarz, rzuca nieszczęsny list z krzy-
kiem:

— Co pan udaje? co pan robi pośrednika!?
Pan jesteś literat, gazeciarz! Pan jesteś nie!

Tejże nocy wyniosłem się tymczasem do cham-
bres garni. Ale już mi się trafia niezłe mieszkanie.
Właściciel ma także „słabą stronę“... trzy córki na
wydaniu.

K O N I E C.



258 108

Spis rzeczy.

	<i>Strona:</i>
Ekonom-Tragik.	3
Judka Grafolog	30
Stopa procentowa	45
„Informator spadkowy“, Swojska, à la Mark Twain, humoreska	52
Sprawozdanie naukowe z Pośladowa . . .	73
Ruchla Tiulik	87
Mój gospodarz. Z pamiątek literata . .	121

Ostatnia nowość MYDŁO GLICERYNOWE KWIATOWE

w następujących zapachach:

IRIS

JAŚMIN

FIJOŁEK

LILA de PERSE

MIMOZA

MUQUET

SWEET PEA

SZTUKA
20 KOP.

POLECA

TOW. AKC. **FRYDERYK PULS**

w WARSZAWIE

Skład główny: Plac Teatralny № 11
Piła Nowy Świat № 41

ST. HANKIEWICZ

MODERNE Wyborne MYDŁO

TOW. AKC.

F. PULS.

w WARSZAWIE

DOSTĄC MOŻNA WE WSZYSTKICH LEPSZYCH PERFUMERJACH.

OD KASZLU I CHRYPKI

ZALECAJĄ LEKARZE

FAY'A

PRAWDZIWE

SODEŃSKIE

MINERALNE

PASTYLKI

Cena pudełka 70 kop.

Do nabycia we wszystkich

aptekach i składach

aptecznych.

Ządać wyraźnie pastylki

FAY'A i odrzucać fałszyfikaty.

SKŁAD MEBLI MAJSTRÓW STOLARSKICH

JANA BEREZIŃSKIEGO

WARSZAWA,
UL. KRÓLEWSKA № 6
wprost Mazowieckiej
TELEFON 51-52.

Całkowite urządzenia w różnych stylach skromne i wykwintne, oraz roboty tapicerskie i dekoracje.

AGATOL

proszek, eliksir i pasta
o silnym aro.nacie

do czyszczenia zębów

poleca Laboratorium

ST. GÓRSKIEGO, LESZNO 12.

!!Ułatwia odstawienie od piersi!!

NESTLE

MACZKA MLECZNA

Od przeszło 40 lat polecana przez wszystkich lekarzy świata, jako doskonały środek odżywczy dla niemowląt, oraz osób dorosłych chorych na żołądek.

Na każdym serku musi być
etykieta z napisem „Rozentowo”.

NAJZDROWSZY
NAJSMACZNIEJSZY



WYSTRZEGAĆ SIĘ PODRABIAŃ!
Używajcie zamiast masła stołowego!

Fabryka Czekolady E. WEDEL

poleca następujące gatunki czekolady, wyróżniające się delikatnością masy i wytwornym smakiem:

Deserową
(chocolat fondant),

Zakopiańską
na mleku,

Pomarańczową
o przyjemnym
orzeźwiającym smaku i

Kawową.

Sprzedaż w sklepach firmy,
handlach kolonialnych
i sklepach spożywczych.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!
SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE

HERBATA Z GÓR HARCU

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee). Zalecana przez najświetniejsze powagi lekarskie zatwierdzona przez Departament Medyczny przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Petersburgu, jest jednym z najniezbędniejszych środków do utrzymania zdrowia. Napój ten, przyjmowany w ilości 2-3 filiżanek tygodniowo, leczy wyrzuty, liszaje, uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, atretyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, choleryi.

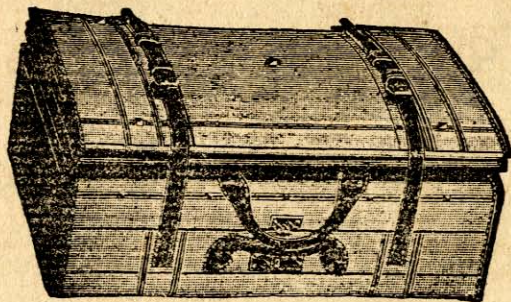
Cena pudełka Rub. 1, pół pudełka 50 kop.

Uwaga. Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą:
Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JÓZEF GROSSMAN

Warszawa, Ślińska 33 a. Kantor i skład w podwórz. Tel. 184-44.

Zamiejscowym wysyłam za zaliczeniem od 1 rubla z doliczeniem kosztów przesyłki podług taksy pocztowej. Wystrzegać się fałszyfkatów.



FABRYKA I MAGAZYN
Przyborów Podróżnych i Myśliwskich
Braci ROZWADOWSKICH

Warszawa, Królewska 29a. Tel. 82-48. Filja: Bielańska 16.

CENY NIZKIE



WYBÓR WIELKI

Warszawa, Szpitalna 5 (róg Przeskok).

„PRĄD”

Miesięcznik Społeczny
i Literacko - Naukowy

Wychodzi od 1 stycznia r. b.

„Prąd” przedewszystkiem uwzględnia sprawy społeczne i związane z nimi zagadnienia etyczne.

„Prąd” stojąc na gruncie chrześcijańskim i narodowym, nie jest rzecznikiem żadnego stronnictwa politycznego.

„Prąd” dąży do skupienia młodych sił, pracujących na polu społecznym i naukowym.

Redaktor i wydawca **ADAM L. SZYMAŃSKI.**

Warunki prenumeraty:

w Warszawie: Rocznie rb. 3, Półrocznie rb. 1.50. Z przes. poczt.: Rocznie rb. 4.

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Warecka 10 m. 11.

Numer okazowy na żądanie wysyła się bezpłatnie.

SZTUKA BRONZOWNICZA I ZŁOTNICZA

PISMO MIESIĘCZNE, FACHOWO-SPOŁECZNE
ILUSTROWANE.

Omawia kwestye fachowe następujące: Rysunki i Modelowanie, Rzeźba, Odlewnictwo, Cyzlerstwo, Grawerstwo, Galwanizowanie, Tokarstwo, Jubilerstwo i Emalierstwo, Maszyny i narzędzia pomocnicze, Wynalazki itd.

Specyalne działy:

„**ŻELAZO I STAL**”

Ślusarstwo, kowalstwo, odlewnictwo itd.

„**ZEGARMISTRZOSTWO**”

Mechanika, technika i historia zegarów.

Prenumerata roczna z przesyłką pocztową rb. 2.50.

WARSZAWA, ul. Czerwonego Krzyża 3.

Numery okazowe — na żądanie.

Jedyna niezależna i bezpartyjna gazeta

„DZIEŃ”

wychodzi co rano (o 6-ej) nie wyłączając dni poświęconych

POD REDAKCYĄ

STEFANA GORSKIEGO

Dzień służy przede wszystkim idei samoobrony narodowej przed zalewem obcych żywiołów: Niemców i wrogo dla nas usposobionych mas litwacko-żydowskich.

Dzień wypowiada się otwarcie i śmiało, nikomu nie schlebiając, we wszystkich żywotnych i aktualnych sprawach nie ulega żadnym partyjnym wpływom politycznym.

Dzień zamieszcza stale wyczerpujące wywiady i ankiety ze wszystkich dziedzin bieżącego życia, zestawiając sądy kompetentnych i fachowych sił społecznych.

Dzień posiada pierwszorzędne informacje krajowe i zagraniczne oraz własną szybką obsługę telegraficzną.

Dzień w codziennych odcinkach drukuje powieści, nowele, recenzje artystyczne literackie i naukowe.

Dzień szeroko uwzględnia potrzeby czytelników prowincjonalnych i kresowych, prowadząc w tym celu specjalne rubryki.

Dzień dostarcza co rano świeżych wiadomości giełdowych, handlowo-rolniczych i handlowo-przemysłowych; drukuje sprawozdania z ruchu kooperacyjnego.

Adres: Warszawa, Nowy-Świat Nr 40, telef. 68-11.

WARUNKI PRENUMERATY: W Warszawie: Rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4.50. kwartalnie 2.25, miesięcznie kop. 75. Za odnośnienie do domu 5 kop. miesięcznie.

Na prowincyi i w cesarstwie rocznie 12 rb., półrocznie 6 rb., kwartalnie 3 rb., miesięcznie rb. 1.

Za granicą rocznie rb. 18, kwartalnie rb. 4 kop. 50.